



1739/6w

PRZEŻYLIŚMY GROSS-ROSEN

Tom II - Filie obozu Gross-Rosen
Zeszyt 7 - Komando Dyhernfurth I
- Komando Gross-Koschen
- Komando Bautzen

Na prawach rękopisu

Związek Bojowników o Wolność i Demokrację
Dzielnica Warszawa-Śródmieście - Koło Nr 1
ul. Wiejska 11. 00-480 Warszawa tel.296943
Komisja Historyczna Środowiska Gross-Rosen

Warszawa 1989

Zespół Redakcyjny:

Zofia Doboszyńska, Halina Duchowa, Witold Kulisiewicz - Kierownik
Zespołu Redakcji, Mieczysław Mołdawa, Roman Olszyna, Zdzisław Rałł,
Andrzej Romanow, Feliks Sikora, Henryk Uchman - sekretarz Redakcji,
Kazimierz Zamojski

przy współpracy:

Tadeusza Berny /Wrocław/, Michała Czebłakowa, Romana Gierki /Obor-
niki/, Jadwigi Gromackiej, Romana Konarzewskiego /Poznań/,
Stanisława Korby /Kielce/, Jana Kosińskiego i Mieczysława
Kwietnia /Lublin/, Edmunda Nawra /Bydgoszcz/, Stanisławy Nowak-
Kozuchowskiej, Henryka Króla /Jelenia Góra/, Marii Więckowskiej-
Malec, Janusza Marczyńskiego, Zbigniewa Mazurka /Wrocław/,
Zygmunta Mikołajczyka - prezesa Klubu Gross-Rosen, Alojzego
Nowickiego /Inowrocław/, Tadeusza Piorkowskiego, Bogdana
Wierzejewskiego, Leszka Wolińskiego /Ząbkowice Śl./, Julii
Wroczyńskiej

Projekt okładki: Włodzimierz Kern

Zeszyt 7 II Tomu "Przeżyliśmy Gross-Rosen" jest 23 pozycją tego wydawnictwa. Zawiera on wspomnienia więźniów z filii Gross-Rosen w Dyhernfurth I, w Gross-Koschen i w Bautzen. Mało otrzymaliśmy danych o tych podobozach, bo i niewielu z więźniów doczekało wyzwolenia. Były to komanda wyjątkowo ciężkie ze względu na charakter pracy więźniów, jak też tragedią więźniów były transporty ewakuacyjne zimą 1945 roku. Oto najkrótsza charakterystyka losów więźniów w tych podobozach.

Dyhernfurth I - więźniowie pracowali przy produkcji broni chemicznej w Zakładach Anorgana. Produkowano tu pociski artyleryjskie i bomby lotnicze z ładunkiem śmiertelnośnego gazu bojowego "Tabun". Ewakuacja więźniów rozpoczęła się 24 stycznia 1945 roku marszem pieszym do obozu Gross-Rosen. Kto wytrwał ten marsz i nie padł na drodze już 9 lutego był wysłany do Mauthausen, dokąd transport przybył dopiero 14 lutego. Ten etap podróży w odkrytych węglarkach był dla wielu więźniów tragiczny. Reszta wysłana do Komanda Amstetten likwidowała skutki nalotów alianckich. Ci nieliczni co doczekali wolności pamiętają o współtowarzyszach zmarłych i zamordowanych. Uczestniczyli w 1965 roku w odsłonięciu pomnika w Brzegu Dolnym, a w 1985 roku przy odsłonięciu tablicy pamiątkowej na budynku Zakładów "Rokita" uczestniczyło zaledwie kilku żyjących więźniów tego komanda.

Gross-Koschen - ten podobóz zlokalizowany był na terenach obecnej Republiki Demokratycznej Niemiec. Więźniowie pracowali dla Zakładów Deutsche Aluminiumwerke przy demontażu zniszczonych samolotów do odzysku części i materiałów. Od 24 lutego 1945 roku rozpoczęła się ewakuacja więźniów. Przewieziono ich do Buchenwaldu, a w kwietniu do Flossenburga, później do Dachau. Warunki obozowe, transporty ewakuacyjne były przyczyną śmierci większości więźniów tego komanda.

Bautzen - zlokalizowany na terenach obecnej Republiki Demokratycznej Niemiec. Tu więźniowie pracowali w Zakładach Waggon u. Maschiene Fabrik AG przy produkcji wagonów. Ewakuacja więźniów rozpoczęła się 19 kwietnia 1945 roku. Marszem pieszym ciągnąc wozy więźniowie dotarli w okolice miasteczka Nixdorf i doczekali końca wojny 8 maja 1945 roku. Również więźniowie pozostawieni na rewirze doczekali wyzwolenia.

O warunkach pracy w tych obozach, o tragicznych podróżach ewakuacyjnych najlepiej można się dowiedzieć ze wspomnień tych co wolności doczekali. Większość kolegów niechętnie wraca do wspomnień, więc na szczególne podziękowanie zasługują autorzy wspomnień nadesłanych do naszej redakcji.

Załączamy szkice pamięciowe o lokalizacji obozów Dyhernfurth sporządzony przez Romana Konarzewskiego i obozu Gross-Koschen sporządzony przez Kazimierza Jankowskiego i Andrzeja Szokałskiego.

Cennym dokumentem były notatki o losach chorych na rewirze w Bautzen nadesłane przez Kornela Gibińskiego.

Wymowę swoją mają również listy i grypsy obozowe. Gryps wysłany z obozu z wiadomością, że w obozie są trzej bracia Konarzewscy -którzy mieli zakaz korespondencji, dopomógł im w otrzymywaniu paczek. List z obozu pisany przez Tadeusza Leśniaka zawiera również wiadomość o pobycie w obozie Dyhernfurth Adolfa Konarzewskiego. Informacja ta jest zawarta w jego podpisie "T Adek", co było zrozumiałe przez adresata. Wreszcie cenny jest list pisany przez Wacława Hejdzika-pracownika cywilnego na terenie obozu Gross-Koschen. Pomagał on w wysyłaniu grypsów do domów. Obawiając się cenzury na adresie zwrotnym do swojego nazwiska dodał nazwisko Pianowski i swój adres pobytu. Do tego listu Seweryn Pianowski dołączył swój list podpisując imieniem "Stasia". Zaczął Seweryn Pianowski otrzymywać paczki i listy za pośrednictwem pana Hejdzika, który wiele ryzykował. Ojciec Seweryna Józef Pianowski został wysiedlony z własnego domu w Nasielsku i przeniesiony do Nowego Miasta n. Pilicą. Seweryn Pianowski ewakuowany do Buchenwaldu tam zmarł jako więzień nr 132300. Miejsce pobytu na robotach Wacława Hajdzika jest wskazówką do lokalizacji komanda Gross-Koschen.

Mało wiemy o losach więźniów radzieckich. Pamiątkowe autografy kapitana Bobrowa Iwana Georgiewicza z Moskwy i sierżanta Borysa Pokrowskiego Iwanowicza z Leningradu pisane w Bautzen 15 kwietnia 1945 roku są świadectwem, że z wielu nielicznych doczekali wolności. Niestety nie znamy ich dalszego losu.

SPIS TREŚCI

I - <u>Komando Dyhernfurth I :</u>	str
Rudolf Stary - Zamiast wstępu	6
Roman Konarzewski - Komando Dyhernfurth	11
Andrzej Waksmundzki - Dyhernfurth I to broń	29
Leon Rawecki - Wspomienia z Dyhernfurt I	33
Rudolf Stary - Dyhernfurth I	37
Tadeusz Koral - Refleksje obozowe	43
Konrad Wojtas - Jeden dzień obozowego życia	49
Stefan Amanowicz - Warunki panujące w obozach	51
Henryk Uchman - Częściowy wykaz więźniów	54
II - <u>Komando Gross-Koschen</u>	
Kazimierz Jankowski - Pracowałem w Komando Gross-Koschen	57
Andrzej Szokalski - Arbeitslager Gross-Koschen	61
Henryk Uchman - Częściowy wykaz więźniów	69
III- <u>Komando Bautzen</u>	
Jan Kwit - Z komanda Bautzen do wolności.	71
Kornel Gibiński - Fragmenty wspomień lekarza	75
Henryk Uchman - Częściowy wykaz więźniów	78
 oraz :	
szkice obozów DyhernfurthI i Gross-Koschen, fotokopie listów obozowych i grypsów, oraz portret więźnia wykonany przez Kornela Gibińskiego.	

ZAMIAST WSTĘPU

**Fragment przemówienia na I zjeździe "Tabunowczyków"
w dniu 3 maja 1985 roku wygłoszonego przez
Rudolfa Starego do młodzieży szkolnej w Brzegu Dolnym**

W okresie międzywojennym Brzeg Dolny był cichym miasteczkiem prowincjonalnym, pełnym ogrodów i kwiatów.

Ówczesny Dyhernfurth zdawał się być zapomnianym przez Boga i ludzi, ale cichym i spokojnym, aż nadszedł dzień pierwszego września 1939 roku. Nikt z mieszkańców Dyhernfurth nie przypuszczał, że z tym dniem dla ich miasteczka rozpoczął się nowy rozdział w jego historii, gdy 7 września 1939 roku Urząd Uzbrojenia Wojsk Lądowych i Niemieckie Dowództwo Wojsk Lądowych III Rzeszy wezwali przedstawicieli potężnego koncernu I.G. Farben i domagali się jak najszybszego wybudowania oddzielnej fabryki do produkcji tabunu. Tabun w tym okresie był najniebezpieczniejszą i tajemniczą bronią chemiczną na świecie wg wynalazku dr Schrödera.

Próby laboratoryjne i produkcja półprzemysłowa dały pozytywne wyniki. Teraz już nie stało na przeszkodzie w uruchomieniu produkcji śmiertelnościowego gazu na skalę przemysłową.

Dyrektor I.G. Farben - Santo - odpowiedzialny za budownictwo fabryki, rozpoczął natychmiast penetrację terenów, odpowiadających lokalizacji ściśle tajnej fabryki, przeznaczonej pod administrację wojskową. W dniu 30 grudnia 1939 roku ustalono lokalizację pod tę budowę w małym i cichym miasteczku, a budzącym jeszcze dzisiaj grozę o nazwie "Dyhernfurth" - czyli obecnie Brzeg Dolny, który po tylu wiekach wrócił obecnie do macierzy.

Anorgana - Werk Dyhernfurth - stała się dla wtajemniczonych synonimem - pierwszych w Europie - samodzielnych zakładów przemysłu chemicznego III Rzeszy, w których produkowano najskuteczniejszą broń chemiczną masowej zagłady w latach 1942 - 1945.

Wiemy że broń chemiczna jest bronią nieludzką i okrutną. Rzymianie toczący przez stulecia wojny głosili dumne hasło, że "Wojny prowadzi się bronią, a nie trucizną". Wroga - nie stosującego tej zasady - osądzali jako zbrodniarza.

Do budowy tak potężnego i prototypowego Zakładu zaangażowano około 15 firm niemieckich budowlanych w generalnym wykonawstwie z nadzorem firmy "Luranil" A.G. - Ludwigshafen".

W pierwszej połowie 1942 roku przystąpiono do rozruchu Zakładu który przeprowadzono bezusterkowo. W tym okresie miesięczna produkcja "tabunu" wynosiła około 50 ton, by wkrótce zwiększyć się do 800 ton. W tym też okresie inwestor tj. I.G. Farben przejął gotowy Zakład od generalnego wykonawcy i przekazał pod zarząd "Anorganie" - prowadzącej fabryki zwykłych użytkowych, nieorganicznych produktów chemicznych. Posunięcie to miało na celu zamaskowanie przed własną ludnością i alianckim wywiadem prawdziwego przeznaczenia zakładu.

Na terenie zbliżonym /o bokach/ do kwadratu o długości około 60 metrów - czyli powierzchni 3600 m² zlokalizowano: /dane z 6.09.1944 roku/

- budynek barak drewniany na dzienny pobyt więźniów z pomieszcze-

niem dla krawca, szewca, kancelarią i szopą - trupiarnią.
- piętrowy budynek murowany jeszcze dzisiaj istniejący - szumnie zwany pomieszczeniem noclegowym.

Na piętrowych i prymitywnych pryzkach spało po dwu więźniów.
Dalej - suchy klozet,

- korytkowa umywalnia polowa z kilkunastoma kurkami czerpalnymi,

- kuchnia obozowa zlokalizowana była tuż poza zewnętrznym ogrodzeniem.

Teren ogrodzony był wysokimi i szczelnymi zasiekami z drutu kolczastego pod wysokim napięciem i płotem z desek. W czterech narożnikach od strony zewnętrznej usytuowano wartownie - zwane bocianówkami - gniazdami, w których dzień i noc trzymali wartę SS-mani niemieckiej i ukraińskiej narodowości, wyposażeni w automatyczną broń, rakiety alarmujące i aparaty telefoniczne.

Obóz był zlokalizowany w bezpośrednim sąsiedztwie dużej hali przemysłowej, w której napełnialiśmy tabunem pociski atryleryjskie i bomby lotnicze.

Tuż obok ogrodzenia podobozu usytuowano baraki dla SS-manów wartowników pełniących nadzór nad nami.

Teren hali produkcyjnej, baraki SS-mańskie i małą enklawę podobozu "straceńców" otaczało drugie ogrodzenie z drutu kolczastego z wartownikami i tablicami ostrzegawczymi. Pamiętajmy, że wspomniane zasieki z drutu kolczastego izolowały teren na wewnętrznym obszarze "Anorgana - Werk", który miał jeszcze podstawowe ogrodzenie zewnętrzne całego obszaru, wytyczając jego granice z ostrzegawczymi tablicami o zakazie zbliżania się do ogrodzenia.

Praca więźniów była bardzo wyczerpująca po 12 godzin dziennie, ale przede wszystkim niebezpieczna. Więźniowie zatrudnieni przy produkcji śmiertelnej broni chemicznej pracowali w zwykłych ubraniach obozowych - pasiakach, bez odzieży ochronnej i masek. Tylko więźniowie zatrudnieni przy bezpośrednim napełnianiu pocisków i bomb "tabunem" oraz przy wyjmowaniu pocisków z pieca próżniowego, gdzie były one poddawane próbie szczelności i posiadali prymitywne maski - kołpaki z mechaniczną klimatyzacją.

Bardzo dużo było przypadków poważnych uszkodzeń lub zmiężdżeń kończyn oraz zatruc, utraty wzroku.

Na terenie podobozu nie było nawet najprymitywniejszego obozowego szpitala, poza tak zwaną izbą chorych. W małym pomieszczeniu z dwiema, czy czterema pryzkami dwoił się i troił obozowy felczer - dokonując cudów aby chociaż ulżyć cierpieniom więźniów. Dzisiaj profesor doktor habilitowany Uniwersytetu Lubelskiego - Wydziału Weterynarii - nasz niezapomniany kolega Marek Wawrzyniak - przeszedł do historii tego Komanda.

Były organizowane próby ucieczki z obozu "straceńców" przez Rosjan. Każda taka próba musiała zakończyć się niepowodzeniem. W założeniach było dużo entuzjazmu, a mało trzeźwej logiki i ekonomiki podejmowanego ryzyka.

Z tego obozu nie wolno było więźniowi zbiec, aby nie ujawniono wojskowej tajemnicy o zakazanej produkcji "cudownej broni chemicznej". Każdy pościg za zbiegami kończył się rozstrzelaniem tych ostatnich.

Wielu więźniów tego podobozu wracało pod silną eskortą do Gross-Rosen, gdzie byli rozstrzeliwani po nadejściu wyroków z Berlina.

Czy więźniowie "Tabunowszczycy" byli załamani? Ani załamani

ani nie tryskali wisielczym humorem. Prowadzili nadal - przede wszystkim Polacy życie konspiracyjne. Wtajemniczeni dysponowali już podczas porannego apelu najświeższymi wiadomościami z nocnego nasłuchu radia zwanego "Tu mówi Londyn!"

Byli też i bohaterowie polityczni jak płk mgr. Tadeusz Koral, czy Ludwik Modzelewski. Oni też zorganizowali wieczór wigilijny w polskim duchu i wieczór sylwestrowy 1944 roku.

Wystąpienie kol. Tadeusza Korala było porywające. Kolega Tadeusz udowodnił, że jest prawdziwym "trybunem ludu". Wspólnie z kol. Ludwikiem Modzelewskim przenieśli nas myślami do Polski, do naszych rodzin i posadowili na zarezerwowanych miejscach przy stole wigilijnym. Były też kolędy polskie, obfite łyzy i okolicznościowe skecze Ludwika Modzelewskiego.

Polacy byli podniesieni na duchu. Więźniowie innych narodowości nie rozumieli podniosłości i wielkiego ryzyka przeżywanych chwil.

Gdy im wyjaśniliśmy przyłączyli się do nas i wspólnie radowaliśmy się oczekując rychłego oswobodzenia, pomimo fatalnego położenia.

W ukryciu liczyliśmy na błyskawiczny atak z obu frontów i zaskoczenia. Życząc wolności uwięzionym, życzone naszym gnębicielom sromotnej przegranej. Takie wystąpienie mogło by spowodować masową egzekucję.

Pomimo najostrzejszych rygorów zachowania wojskowej tajemnicy, odcięcia więźniów z komanda "straceńców" potrójnymi zasiekami z drutu kolczastego, wysokiego napięcia w ogrodzeniu, specjalnych wart z SS-manów niemieckiej, ukraińskiej i skośnookiej narodowości, niektórym więźniom udało się nawiązać kontakt z rodzinami. Nieżyjący już Kolega Marian Ryba - mój serdeczny przyjaciel - z rodziną nawiązał kontakt - z żoną za pośrednictwem partyjnego cywila Niemca.

Był to mistrz, który sprawował nadzór techniczny na wydziale finalnym, gdzie zatrudnieni byli więźniowie. Do niego zwrócił się Marian o umożliwienie mu kontaktu z żoną. Zaproponował mu 1 litr spirytusu i papierosy. Przynęta chwyciła. Obszerny list otrzymała żona mieszkająca w Krotoszynie. Któregoś dnia mistrz - Ślazak przyniósł Marianowi wspaniałe wypieczoną dużą kaczkę, którą przysłała żona i list. Również mistrz potwierdził odbiór spirytusu mówiąc: "Pieronie... adyc wasz sznaps jest prima".

W prywatnych rozmowach zdradził, że on nienawidzi reżimu Hitlera, a do partii dlatego należy, bo w ten sposób ratuje się przed wojskiem.

A tak na marginesie wspomnę, że Marian poczęstował mnie dużą porcją kaczki. Dużo nie brakowało, a ta wspólna uczta zakończyłaby się dla mojego żołądka i mnie katastrofą.

Ryzyko opisanego kontaktu w przypadku "wsypy" mogło się zakończyć rozstrzelaniem wszystkich zainteresowanych.

Śmiertelność wśród więźniów była bardzo duża, co zresztą nie miało żadnego wpływu na obsadzenie wolnych stanowisk pracy obu podobozów.

Rezerwy niewolników w centrali Gross-Rosen były nie do wyczerpania. W każdej chwili na miejsce jednego zabitego, czy zmarłego z wyczerpania więźnia można było sprowadzić każdą ilość zastępców.

Podobozy Dyhernfurth I i II nie miały własnego krematorium. Zwłoki zmarłych składano do skrzyń, a gdy się zapełniły, wywożono je do Gross-Rosen, gdzie piece krematoryjne udzielały im swej "gościnności".

Już w grudniu 1944 roku zauważyliśmy wyższych oficerów "Wehrmachtu" którzy często gościli w głównej hali produkcyjnej, co było czymś bez precedensu, bowiem do hali produkcyjnej nie mieli prawa wstępu nawet pilnujący nas SS-mani.

Wywiad obozowy działał sprawnie. Już w pierwszym dniu pobytu wojskowych gości wiedzieliśmy, że "Anorgana Werk" przygotowuje się do ewakuacji, a wojskowi, to pirotechnicy, którzy mieli wysadzić w powietrze kompromitujące wydziały produkcji tabunu. Więźniowie pracowali na wydłużonej dniówce jak to się dzisiaj mówi, z tym że w obozie normalna dniówka wynosiła 12 godzin pracy.

Do krytych wagonów towarowych wypełnionych pociskami artyleryjskimi i bombami - w drodze wyjątku zezwolono na załadunek skromnego bagażu dzieci i wyfutrzonych w kradzione futra żon prominentów partyjnych, wiernych Hitlerowi.

Wszyscy starali uciec jak najdalej na zachód, aby tylko nie dostać się w ręce zwycięskich wojsk ZSRR.

Nadszedł dzień 21 stycznia 1945 roku. W tym dniu nie pracowaliśmy. Po apelu wiedzieliśmy, że po skompletowaniu i wyposażeniu SS-mańskiej eskorty zostaniemy ewakuowani do Gross-Rosen.

Była to zima, mróz i zawieje śnieżne. Około godziny 12.00 otrzymaliśmy ohydny zupe - maź ze suszu marchwiowego i około godziny 14.00 obstawieni liczną eskortą SS-manów wyruszyliśmy do Gross-Rosen.

Na wpół nadzy, bez chleba i w drewniakach mieliśmy pokonać drogę o długości ponad 60 kilometrów.

Około północy zatrzymano nas w jakiejś miejscowości i wpędzono do dużej stajni owiec, które wcześniej przemieszczono do oddzielnych zagród. Cóż to był za błogi odpoczynek na ciepłej warstwie gnoju dla zmarzniętych więźniów.

Wielu więźniów nie wytrzymało tego marszu. Wieczorem 22 stycznia 1945 roku - a było już po godzinie 19.00 otwały się przed nami bramy piekła Gross-Rosen. Byliśmy pewni, że z marszu będziemy skierowani do krematorium, gdzie też rozstrzeliwano.

Byliśmy zrozpaczeni !

W czasie odbierania nas przez SS-manów z Gross-Rosen i sprawdzenia stanu liczebnego wśród straceńców panowała grobowa cisza. W tym momencie odezwały się syreny alarmowe ostrzegające przed nalotem.

Tabunowszczycy nie mieli nic do stracenia, rozbiegli się z innymi więźniami i pochowali gdzie kto mógł.

Należy pamiętać że w tym czasie w Gross-Rosen panował kosmiczny bałagan. Stałe nadchodziły nowe transporty więźniów z ewakuowanych komand i obozów i po krótkim pobycie ewakuowano ich dalej na Zachód.

Ludobójcza machina pracująca tyle lat bezawaryjnie - zmęczyła się. Jej fundamenty już trzeszczały, a z nią ideologia Hitlera i jego partii. Rozproszeni "Tabunowszczycy" po różnych barakach doczekali do końca I dekady lutego 1945 roku. Zostali włączeni do 4,5 tys. transportu i załadowani do wagonów - węglarek, wyruszyli poprzez Buchenwald w nieznane, aby po sześciu dobach w odkrytych wagonach, bez jedzenia, picia, a nawet możliwości odpoczynku dotrzeć do Mauthausen.

Pociąg ten nazwany został pociągiem "Widmem", był świadkiem dantejskich scen. To było coś najbardziej makabryczne co widziałem w obozach koncentracyjnych.

Z tych, którzy dotarli do Mauthausen - wielu zmarło z wycień-

czenia, innych zdziesiątkowało ostre zapalenie płuc.

Część została zakwaterowana na kwarantannie, wielu odesłano do podobozu w Gusen, czy też Ehensee.

Zaraz na początku pobytu w Mauthausen radiowóz obozowy zaapelował do byłych więźniów "Dyhernfurth I" aby się zgłosili do kontrolnego badania. Na skutek zatrucia w fabryce chemicznej mieli być wysłani do "sanatorium" na leczenie. Ci, którzy sko-
rzystali z "opieki" obozowych lekarzy nigdy nie wrócili na bloki.

Mauthausen zostało oswobodzone w dniu 5 maja 1945 roku - sobota około godziny 11.00.

Swoje obszerne wystąpienie Rudolf Stary zakończył apelem:

DROGA MŁODZIEŻY!

Dzisiaj spotykacie się z ostatnimi "Mohikanami" tajemniczego podobozu "Dyhernfurth I", więźniami komanda "straceńców", którzy w całym tego słowa znaczeniu "cudem powrócili na Ojczyznę łono".

Opuszczając teren wewnątrzzakładowego podobozu w dniu 21 stycznia 1945 roku - tereny na których zlokalizowane zostały po 1945 r. nowe obiekty przemysłowe dzisiejszych nowoczesnych N.Z.P.O. "ROKITA" zabraliśmy moralny i polityczny testament tych, którzy zginęli w obozach koncentracyjnych.

W związku z tym apelujemy do Was i następnych pokoleń:

- Nie pozwólcie wrzucać w otchłań zapomnienia naszej krwawej przeszłości!

- Nie wyrывajcie kart z naszej historii!

- Nie zapominajcie o ciemnej nocy okupacji! Zapamiętać bowiem znaczy przypominać sobie i innym!

Pamiętajcie, że przeszłość lubi wracać! Jeszcze dzisiaj trwa pościg za przeszłością!

- Nie pozwólcie spisać cierpień znękanego narodu polskiego na straty historyczne.

Idźcie pod rękę z prawdziwą historią, czyli z przeszłością na spotkanie świetlanej przyszłości poprzez teraźniejszość!



KOMANDO DYHERNFURTH I W BRZEGU DOLNYM NAD ODRĄ
OBECNIE NZPO "ORGANIKA-ROKITA"

Zakłady Anorgana - Werk postanowiły przystąpić do budowy specjalnej fabryki gazów /wynalazku dra Schrödera/ - gazu toksycznego o nazwie "Tabun".

Na miejsce budowy tej fabryki wybrano właśnie Dyhernfurth, małą miejscowość położoną z dala od głównych tras autostrad itp. Poza tym bliskość rzeki Odry i dużej stacji kolejowej na głównym szlaku do Wrocławia, zadecydowały o lokalizacji budowy. Ponadto dobrze zalesiony teren, dobrze maskował budowaną fabrykę.

Budowę fabryki rozpoczęto w połowie 1940 roku. Tego zadania podjęła się specjalistyczna firma niemiecka "Luranil" A.G. - Ludwigshafen.

Zaangażowano do tej budowy 30 firm, z których ustalono:

- Przedsiębiorstwo Budowlane	- Baugemeinschaft Grafschaft Glatz
- "	- Fritz Hildeg, Hoch Tief-Eisenbetonbau
- "	- Paul Garbe-Baunternehmung Tiefbau Betenbau, Breslau
- "	- Simon Haupaep - Baustelle Waldlager Elfenhain
- "	- Komanditgesellschaft Florentius Brechta Tiefbau-Beton u.Eisenbeton Neuseutkicher Strassenbau Breslau
- "	- przemysłowe - E. Hegelfeld Industriebau- Gessellschaft M.B.H. TIEF - BETON u. Stahlbetonbau
- "	- Baugemeinschaft Oels Niederschlesien
- "	- Arbeitsgemeinschaft Wilhelm Beck Alfred Köhler Breslau
- "	- C.R. Mahricke Nacht Breslau
- "	- Löser Bauunternehmung K.G.
- "	- Steffens u. Nölle
- Firma	- Guttman
- Przedsiębiorstwo	- Reichwald Ziegelei G.M.B.H. Berlin Werk Reichwald a/Oder
- "	- Allegemeine Elektrizitäts Gesellschaft
- Firma	- Klaude
- Firma	- Krüge
- Firma	- Huta A.G. Breslau
- Przedsiębiorstwo	- Dyckerhoff n. Wiedermann Kommanditgesellschaft Niedelassung Breslau
- "	- Brücken U.Stahlbau-Waggonbau-Tiefbau Beuchert u. Co. Zielona Góra
- "	- Reiners u. Co. Tiefbauunternehmung

- | | |
|------------------------------|---|
| - Przedsiębiorstwo | - Horst Dyha Dekorations-Malerei |
| - Firma | - H. Cronemeyer |
| - Przedsiębiorstwo Budowlane | - Strassenbau Gesellschaft Es Kemna u. Co.KG. |
| - Przedsiębiorstwo | - H.R. Heinke Breslau |
| - "- | - Martin Bürger Malermeister Breslau |
| - Firma | - Vigel Schweinfurth |
| - Przedsiębiorstwo | - Max Wolter Betonsteinwerk Breslau |
| - "- | - Pechur u. Sucker |

Prawdopodobnie w połowie 1942 roku dokonano próbnego rozruchu fabryki. W tym też okresie główny inwestor I.G. Farben Industrie przejął zakończoną budowę i przekazał pod zarząd "Anorganie", która była znaną firmą prowadzącą fabryki zwykłych, nieorganicznych produktów chemicznych do powszechnego użytku. Pod tym płaszczykiem rozpoczęto produkcję trującego gazu "Tabun".

W dość odległym miejscu na posesji fabryki umieszczono budynek, do którego doprowadzano podziemnymi przewodami wyprodukowany płynny gaz tabun. W pobliżu był duży las sosnowy oraz kilkunastoletni zagajnik.

Opodal tej hali wyznaczono miejsce na mały podobóz Dyhernfurth I, ogrodzony wysokim płotem z desek, zasłaniającym widok. Teren wewnętrzny ogrodzono podwójnym płotem z drutu kolczastego, pozostającym pod wysokim napięciem.

Wewnątrz wybudowano dwa baraki drewniane, z których jeden był kuchnią i jadalnią, a w drugim spali więźniowie. Poza tym w baraku było biuro komanda oraz podręczny magazyn odzieży.

Przy bramie wejściowej na teren komanda znajdował się następny barak, w którym mieszkała załoga SS.

Droga z obozu do hali fabrycznej miała około 100 metrów długości. Budynek fabryczny oraz dojście do niego było odgrodzone specjalnym płotem z drutu kolczastego. Budynek, gdzie pracowali więźniowie również był ogrodzony tym drutem.

Obok hali z dwóch stron znajdowały się rampy kolejowe, na które podstawiano wagony do rozładunku czy załadunku. Na torach usytuowano bramy, otwierane przez SS-manów w razie potrzeby.

Na ten teren wpuszczano jedynie cywilnych majstrów oraz pracowników związanych z procesem napełniania gazem pocisków lub bomb.

Komando zostało utworzone w dniu 13 marca 1943 roku. W pierwszej grupie więźniów, którzy się tam zjawili znalazł się żyjący do dzisiaj kolega Leon Rawecki.

Pierwsza grupa więźniów liczyła ok. 60 osób. Pracowali początkowo przy porządkowaniu terenu przyfabrycznego oraz na terenie obozu. Dopiero później zostali skierowani do pracy przy napełnianiu gazem bomb lotniczych.

Grupa ta składała się w większości z więźniów narodowości polskiej przybyłych do Gross-Rosen transportem z Auschwitz. Więźniowie ci posiadali numerację czterocyfrową rozpoczynającą się liczbą 84..

Większe grupy więźniów przyjechały do tego komanda w czterech grupach, a to:

- I - w dniu 13 marca 1943 roku
- II - w połowie czerwca 1943 roku
- III - w dniu 7 marca 1944 roku
- IV - w dniu 6 września 1944 roku

Istnienie komanda było utrzymane w ścisłej tajemnicy /Geheim-

nisskommando/. Nawet SS-mani musieli podpisywać specjalne zobowiązania o zachowaniu tajemnicy wojskowej odnośnie tego co się mieściło na terenie fabryki.

Pomimo to nie mieli oni prawa wstępu do żadnej z hal fabryki, gdzie pracowaliśmy. Jedynie mógł tam wejść komendant obozu.

SS-mani mieli budki strażnicze przy zewnętrznych torach kolejowych, w których chronili się w czasie deszczu. Nie wolno im było nikogo wpuszczać na ten teren, z wyjątkiem posiadaczy specjalnych przepustek.

Przy załadunku i rozładunku wagonów dla zachowania tajemnicy, przed otwarciem każdego wagonu zastawialiśmy obydwie wejścia z dwóch stron specjalnymi zasłonami uniemożliwiającymi oglądanie naszych czynności w wagonach.

Więźniów kierowanych do pracy w tym komandzie wyznaczała obozowa Politische Abteilung. W większości wyznaczono tych, którzy w dokumentach z Gestapo mieli wpisane "powrót niepożądany" /Rückkehr unerwünscht R.U./. Byli tam również kierowani więźniowie innych narodowości np. Niemcy wysyłani karnie za przewinienie. Przypuszczalnie wszyscy mieli w skłach adnotacje "R.U."

Większość więźniów, która przyjechała do pracy na tym komandzie w dniu 7 marca 1944 roku pochodziła z transportu tzw. "Radomskiego" i miała w aktach wpisane "powrót niepożądany". Prawie wszyscy mieli zakaz wszelkiej korespondencji i otrzymania paczek.

Załoga SS

Załoga SS-mańska składała się z kilkudziesięciu ludzi. Trudno jest dzisiaj ustalić ich liczbę, zwłaszcza że uzupełniano często-kroć stan załogi wartownikami z pobliskiego komanda Dyhernfurth II.

Komendantem komanda był SS Unterscharführer Karl Paul Reinhold Gallasch.

A oto jego karta personalna:

SS - Rottenführer Gallasch

imiona - Karl Paul Reinhold

urodzony - 17.XI.1897 Breslau /Wrocław/

wyznanie - ewangelik

stan - żonaty 1 dziecko płci męskiej i 4 córki

żona - Elsa z d. Hahn

mieszkał - Breslau /Wrocław/ u. Hirschstrasse 43

zawód - ślusarz

przybył do Gross-Rosen - 1.I.1942 roku

wstąpił do SS - 24.I.1940 roku

Poznałem go bliżej w Gross-Rosen jako cugang. Wtedy zostaliśmy skierowani na Blok Nr 8 gdzie funkcję Blockführera pełnił właśnie Karl Gallasch.

Był to wśród funkcyjnych SS-manów chyba jeden z największych zwyrodniałców i katów, który nienawidził wszystkich więźniów, a zwłaszcza Żydów i Polaków.

Jako komendant Dyhernfurth I, podlegał służbowo komendantowi Dyhernfurth II, gdzie Lagerführerem był Brauner oficer SS, któremu składał codziennie raporty jako Rapportführer.

Zastępcą Gallascha był Unterscharführer Hitz, który po odejściu Gallascha został komendantem obozu.

Niektórzy z członków załogi SS zwłaszcza starszych wiekiem zachowywali się poprawnie. Wśród nich wyróżniało się dwóch chyba Ślązaków mówiących po polsku. Ale byli też młodzi nieporównywalnie gorsi, zdecydowanie źle ustosunkowani do nas wszystkich.

SS-man nazwany przez nas "kukułką", z reguły nie zwracał uwagi na to co, się dzieje i co robimy. W czasie ucieczki więźniów radzieckich ten właśnie SS-man nie strzelał do uciekających.

Był także starszy wiekiem Unterscharführer chodzący przeważnie w sztylpach, który mówił nieraz po polsku, a znał również rosyjski. W czasie służby w budce strażniczej w niedzielne popołudnia, prosił Rosjan, aby śpiewali mu swoje piosenki.

Każdy z SS-manów musiał podpisać specjalne zobowiązanie o zachowaniu tajemnicy państwowej i wojskowej, a oto jej treść:

Komendant
Obozu konc. Gross-Rosen

Dyhernfurth, am 5.12.1943

Zobowiązanie honorowe

O życiu i śmierci wroga państwa decyduje Führer. Żaden narodo-
wy socjalista nie ma prawa dotykać wroga państwa i znęcać się nad
nim fizycznie. Oświadczam pod słowem honoru, że będę postępował w
każdym przypadku stosownie do dyrektyw Führera czemu daję wyraz
własnoręcznym tu podpisem.

/-/ M. Klein
SS. Kom. Gr. Ros. Batl. 190
Breslau

Szczególna wskazówka o obowiązku zachowania tajemnicy
Oświadczam uroczystie niniejszym, że otrzymałem następujące pou-
czenie:

Po zwolnieniu ze służby w obozie koncentracyjnym Gross-Rosen
będę strzegł najściślej tajemnicy o obozie koncentracyjnym i
jego instytucjach, jak również o wszystkich wydarzeniach, o których
dowiem się osobiście lub od innych osób ustnie lub pisemnie.

O obowiązku zachowania tajemnicy zostałem osobiście i w sposób
szczegółowy pouczony i świadomy jestem, że w razie złamania przy-
rzeczenia powyższego liczyć się mogę z osadzeniem mnie w obozie
koncentracyjnym.

Dyhernfurth, am. 5.12.1943
-/ M. Klein
SS. Komp. Gr. Ros. Batl. 190
Breslau

Podobno Karl Gallasch miał we Wrocławiu kochankę.

Prawdopodobnie jego żona wiedziała o znęcaniu się męża nad więź-
niami. Kiedy po zakończeniu wojny Gallasch przedostał się po cywil-
nemu do Wrocławia do swojej kochanki, z którą chciał uciekać, żona
powiadomiła władze bezpieczeństwa o tym. Gallasch został aresztowa-
ny. W procesie prowadzonym przez Okręgową Komisję Badania Zbrodni
Hitlerowskich we Wrocławiu, udowodniono mu popełnione morderstwa i
znęcanie się nad więźniami, za co otrzymał wyrok śmierci. Po powro-
cie do więzienia powiesił się w swojej celi.

Opis fabryki i pracy więźniów obozu Dyhernfurth I

Teren całej fabryki był olbrzymi, ale my znaliśmy tylko jego
częstkę przy naszym zakładzie oraz wycinek, po którym chodziliśmy
do łaźni /była to łaźnia pracowników cywilnych, czasami udostępnia-
na więźniom/.

Większość budynków usytuowano między drzewami, a nad niektóry-
mi ważniejszymi rozciągnięto specjalne maskujące przed samolotami
siatki, które imitowały zielen lasu.

Hala fabryczna, gdzie pracowaliśmy była budynkiem murowanym

parterowym, o dachu stożkowo ściętym, oszklonym zbrojonymi szybami. Po rogach były pobudowane piętra, gdzie mieściły się biura dyrekcji tej części fabryki.

Z dwóch stron hali były rampy, przy których rozsuwane drzwi z każdej hali umożliwiały załadunek i rozładunek wagonów. Wszystkie okna w tym budynku i drzwi miały uszczelnienia gumowe. W halach były specjalne osiatkowane kanały w podłodze, którymi wdmuchiowano powietrze z zewnątrz.

W budynku na parterze były następujące pomieszczenia patrząc od strony biura.

Warsztat stolarski, gdzie pracowali więźniowie, którzy m.in. naprawiali skrzynie z bombami, uszkodzone podczas transportu. Po każdym załadunku wagonu stolarze zamocowywali skrzynie z bombami przybijanymi specjalnymi zaporami z desek, które zapobiegały podczas transportu przesuwaniu się skrzyń w wagonie.

Oprócz tego stolarze wykonywali inne czynności zlecone przez cywilnych majstrów i kapo Krauzego.

W następnym pomieszczeniu przy specjalnych dwóch maszynach pracowali więźniowie napełniający gazem bomby.

Bomby podwożono do nalania w skrzyniach drewnianych na specjalnych wózkach, w których tylne kółka były ruchome.

Otwór napełnionej gazem bomby był zakręcany specjalną uszczelniającą nakrętką, której brzegi zamalowywano specjalną farbą koloru żółtego. Farba ta zabarwiała się na czerwono, kiedy gaz się ulatniał spod nakrętki.

Po napełnieniu gazem bomby i zakręceniu nakrętki, do każdej bomby podchodził cywilny majster niemiecki, który specjalnym przyrządem sprawdzał szczelność. Przyrząd ten wykazywał natychmiast ulatniający się gaz.

Po sprawdzeniu szczelności, bombę podwożono do stanowiska, gdzie pracowali więźniowie narodowości niemieckiej, którzy malowali specjalnymi szablonami umowne numery i znaki na bombach i pociskach dla oznaczenia, że są naładowane gazem trującym. Następnie wieko skrzyni zamykano i bomby odwożono do wagonu, w którym układano je w pozycji leżącej w skrzyniach mocowanych do podłogi przez stolarzy. Załadowane wagony majster niemiecki sprawdzał, po czym zamykał drzwi i plombował.

Następnym pomieszczeniem był magazyn bomb, zajmujący całą szerokość budynku. Tutaj bomby /puste/ składowano na specjalnie wysypanym piaskiem podłożu. Układano je w pozycji leżącej po pięć skrzyń, jedna na drugiej.

W pomieszczeniu była przegroda, gdzie składowano wióry drzewne służące do przekładania napełnionych gazem pocisków artyleryjskich. W drugim pomieszczeniu zainstalowano jesienią 1944 roku maszynę do napełniania gazem bombek szklanych. Napełnione bombki w miejscu wlewu zatapiane specjalnym urządzeniem stapiającym szkło. Potem bombki wkładano do przegródek specjalnych kartonów.

Następną część hali stanowiło obszerne pomieszczenie przeznaczone do składowania dużych pocisków artyleryjskich. Sprawdzone i naładowane pociski nakładano na specjalne ramiona przesuwające się ruchem obrotowym. Z drugiej strony tych ramion będących w ruchu stali dwaj, lub czterej więźniowie, którzy wszystkie pociski zdejmowali i nakładali na taśmociąg.

Po wymalowaniu oznakowań pociski były taśmociągiem kierowane do pomieszczeń, gdzie wdmuchiowano ciepłe powietrze, aby oznakowanie farbą szybciej wyschło.

Wysuszone pociski taśmociąg przenosił do specjalnych stołów kontrolnych obitych grubą blachą, gdzie więźniowie zdejmowali je.

Przy stołach siedzieli majstrowie niemieccy, którzy sprawdzali, czy pociski są właściwie oznakowane i czy szasami farba zamalowująca otwór wlewu gazu nie zabarwiła się na czerwono, co oznaczałoby, że gaz ulatnia się. Wówczas taki pocisk odstawiano na bok do ponownego zabezpieczenia nakrętki.

Więzień stojący przy majstrze pokrywał sprawdzony pocisk specjalną "koszulką" z tektury. Taśmociąg przynosił pociski do wagonów, w których następna grupa więźniów pod nadzorem Kapo Waliłki układała te pociski w kilkuwarstwach. Pociski przekładano w wagonach wolną drzewną. Pracowali przy tym przeważnie więźniowie radzieccy.

Kapo Krauze często przychodził do pomieszczenia, gdzie więźniowie nakładali lub zdejmowali pociski z ruchomych ramion i biada więźniowi, który nie nadszył ze zdejmowaniem lub nakładaniem pocisków na taśmociąg. Więzień taki otrzymywał na terenie obozu karę cielesną.

Kol. Stefan Amanowicz wspomina, że pracował dłuższy czas przy nakładaniu pocisków na taśmociąg. Była to bardzo ciężka praca, polegająca na przekładaniu pocisku z lewej strony na prawą o ustawicznym ruchu półobrotowym. Spowodowało to u niego zniekształcenia kręgosłupa.

W jednym z ostatnich pomieszczeń hali napełniano pociski gazem. Pomieszczenie to było podzielone na trzy części ściankami oszklonymi od góry.

Pierwsza część to pomieszczenie, gdzie znajdowały się poukładane pociski artyleryjskie. Tutaj więźniowie nakładali puste pociski na specjalne szyny wiodące do drugiego pomieszczenia, gdzie trzy maszyny napełniały pociski gazem wlewnym rurką do wnętrza. Maszyny obsługiwali więźniowie.

Inny więzień sprawdzał, ile pocisków napełniło każde stanowisko, a następnie specjalną farbą w kolorze żółtym zamalowywał całą nakrętkę zamykającą miejsce wlewu gazu. Po tej czynności odkładał pocisk na szynę wiodącą do następnego pomieszczenia, gdzie w specjalnych komorach próżniowych majster niemiecki kontrolował wszystkie napełnione pociski, czy nie ulatnia się z nich gaz.

Komory miały gumowe uszczelki i specjalnie dociskane uchwyty do klapy. Wewnątrz były metalowe półki z wyrobionymi miejscami wyciętymi na ułożenie pocisków. Wszystkie pociski były układane przez więźniów, a następnie całe to urządzenie wjeżdżało do komory.

Po utworzeniu klapy komory sprawdzano czy nie widać wycieku gazu w miejscu zamalowanym żółtą farbą.

Sprawdzone pociski więźniowie odkładali na specjalną szynę, po której toczyły się do miejsca, gdzie inni oznakowywali je.

Opis obozu

Komando zajmowało początkowo niewielki obszar, na którym stały baraki drewniane. Obok stała trzyprzegrodowa ubikacja. Między barakami były krany z wodą do mycia się.

W pierwszym baraku mieściła się kuchnia, magazyn żywnościowy i jadłodaśnia dla więźniów. W drugim baraku sypiali więźniowie na drewnianych pryczach. W szczytowej odgradzonej części baraku mieściło się biuro obozowe i magazyn odzieży.

Jesienią 1943 roku za tymi barakami postawiono podpiwniczony jednopiętrowy budynek murowany i poszerzono obóz o ten kawałek terenu. Obszar obozu był zabezpieczony specjalnym płotem z desek oraz podwójnym płotem z drutu kolczastego pod wysokim napięciem.

Nasza grupa więźniów przybyła do Dyhernfurth 7 marca 1944 roku, została od razu zakwaterowana w tym nowym budynku o murach zio-

nących wilgocią. Tam też początkowo mieliśmy w jednej z sal prowizoryczną stołówkę. Za stoły służyły zbite zwykłe deski, a za siedzenie ławy wykonane z prostych desek nieheblowanych.

Dopiero po jakimś czasie przeniesiono pozostałych więźniów z baraku drewnianego do murowanego budynku. Wówczas w drugim baraku drewnianym urządzono stołówkę.

Wyżywienie w Dyhernfurth I

Na śniadanie otrzymywaliśmy zupy, które były różne np. w niedzielę otrzymywaliśmy płatki owsiane, na mleku odciganym, mocno rozcieńczonym wodą, trochę osłodzone. W dni powszednie dostawaliśmy jakąś zupę z rozwodnionej maki z dodatkiem całego czy śrutowanego grubo zboża. Były nieraz inne zupy, których po tylu latach nie pamiętam. Na obiad była przeważnie zupa z brukwi, liści kapusty względnie suszu brukwi, marchwi, wytlóków z buraków cukrowych, a czasem jarmużu zielonego i zarobaczanego. Czasami otrzymywaliśmy ziemniaki parowane w mundurkach oraz trochę tzw. gulaszu z mięsa nieokreślonego pochodzenia.

Na kolację otrzymywaliśmy 1/4 bochenka chleba, kostkę margaryny dzieloną na 20-stu. Czasami otrzymywaliśmy trochę melasy, marmolady, a czasami plasterki kiełbasy końskiej oraz czarną kawę zbożową.

Poza tym o godzinie 10-tej wydawany był na terenie obozu tak zwany Frühstück śniadanie, który stanowił cienkie półkromki przekrojonego chleba typu wojskowego, posmarowane cieniutko margaryną.

Czasami wydano nam dodatkowe jedzenie. Np. kiedyś przywieziono z Francji produkty określone jako ostrygi. Było to bardzo słone. Zakłoga SS nie chciała tego jeść więc przydzielono to nam. Kiedy pod kranem wypłukiwaliśmy to jedzenie, wówczas okazało się, że są to udka żabie i ślimaki. Zjedliśmy to wszystko, bo byliśmy głodni.

Praca w fabryce

Na drugi dzień po przywiezieniu nas do komanda przydzielono nam pracę.

Więźniowie ze starego transportu napełniali gazem bomby lotnicze. Przy oznakowywaniu bomb lotniczych byli zatrudnieni Niemcy, a Polacy dowozili wózkami te bomby i załadowywali je potem pełne do wagonów. Nie wolno było pozostawiać w fabryce bomb, czy pocisków napełnionych gazem, od razu musiały być wysyłane.

Kilku więźniów starszych stażem było zatrudnionych w warsztacie stolarskim, kilku w warsztacie ślusarskim.

Nas porozdzielano do różnych prac w fabryce przeważnie przy napełnianiu gazem pocisków artyleryjskich.

Pracowałem początkowo przy warsztacie. Do mnie należało odkręcanie zakrętek w pociskach przepuszczających gaz. Przy każdym odkręceniu nakrętki gaz ulatniał się na zewnątrz. Pomimo, że pracowałem w masce specjalnej doprowadzającej czyste powietrze, to jednak gaz przedostawał się do organizmu.

Odczuwałem to stale. Bardzo często miałem silne bóle głowy, wydawało się mi także, że coś od wewnątrz rozsadzi mi ją. Dochodziło do półomdlenia. Żrenice oczu miałem silnie zwężone. Kiedy nadchodziła szarówka bywało, że prawie nic nie widziałem.

Nadzór nad całością pracy sprawował Kapo niemiecki kryminalista Krause. Był on jeszcze dość łagodny w stosunku do więźniów, chociaż potrafił nieraz bardzo silnie uderzyć. Miał do pomocy Vorarbeitera Bryłkę Polaka o niskim poziomie intelektualnym prawdopodobnie był-



1739/62

go więźnia Auschwitzu. Miał on pod sobą przeważnie więźniów Rosjan i kilku Polaków i odpowiadał za właściwe załadowywanie pocisków do wagonów. Niejednokrotnie dokuczał podległym więźniom.

Praca w fabryce trwała oprócz niedziel od rana do późnego wieczora z przerwami na śniadanie i na obiad.

W niedzielę mieliśmy zawsze od samego rana podstawiane wagony załadowane pociskami i bombami, które trzeba było natychmiast wyładowywać. Wówczas bywało piekło, bo kapo Krause chciał mieć więcej wolnego czasu dla siebie, a i kolejarzom chodziło o szybki rozładunek. W takie dni darł się Krause i Bryłka na wszystkich. Trzeba było szybko rozładowywać zasłonięte zasłonami wagony. Bomby to było łatwiej rozładowywać, gdyż były do tego celu specjalne wózki.

Natomiast pociski trzeba było wstawiać do wagonów przy pomocy szyn na ruchomych podwyższeniach, ustawianych pochyło, aby pociski mogły się po nich toczyć. Niejeden więzień oberwał od Krausego za zbyt wolną pracę. Niejeden więzień doznał zmiążdżenia nóg od spadającego pocisku.

Kiedyś kilku z nas zaprowadzono do pomieszczeń w drugim budynku, gdzie polecono nam założyć zwykłe maski typu wojskowego i pomieszczenie zamknięto. Były to jakieś doświadczenia dokonywane na nas, po których znów miałem bardzo silne bóle głowy i stan wzroku pogorszył się.

Przy zakręcaniu na nowo zakrętek pocisków wielokrotnie podkładałem po dwie podkładki, aby ukrecona śruba nieco wystawała aby umożliwić załadowanie pociskiem działka. Podobnie zresztą robili więźniowie zatrudnieni przy maszynach napełniających pociski.

Wiele pocisków przepuszczało gaz. Odstawiano je na bok przy piecach kontrolnych. Każdy taki pocisk trzeba było indywidualnie zamocować w imadle. Potem specjalnym punktakiem odręcić zakrętkę, zmienić na nową i ręcznie zwykłym kluczem ponownie zakręcić, wymalować specjalną żółtą farbą i ponownie skierować do komory próżniowej. Nieraz zmywałem zaczerwienioną farbę i malowałem na nowo oraz kładłem do oznakowywania bez kontroli.

W konsekwencji spowodowaliśmy, że kierownictwo fabryki przy stole kontrolnym, gdzie stał mój brat Stanisław postawiło specjalną wagę, na której ważono każdy pocisk, czy ma odpowiednią wagę.

Przy urządzeniach, gdzie były napełniane pociski gazem stał zawsze jeden z cywilnych Niemców, który nadzorował pracę osób pracujących przy tych maszynach.

Kiedyś przy odkręcaniu zakrętki pocisku z gazem, zauważyłem że kręci się w pobliżu młody cywilny Niemiec.

Widywałem go nieraz. Podeszedł do mnie i powiedział, że ma iść do wojska, a boi się wschodniego frontu. Dlatego chce się nałykać tego gazu. Bałem się dopuścić go do pocisku, ale on sam podeszedł blisko i najpierw kilka razy nachylił się blisko nad otworem wdychając do płuc wyziewy. Następnie przybliżył blisko do otworu swoje oczy i zaraz potem odszedł. Wystraszyłem się tym, bo przecież mogłbym odpowiadać za niego. Więcej nie widziałem go.

Nikommu nie mówiłem o tym fakcie. Moja praca choć z pozoru dość spokojna narażała mnie na bezpośrednie działanie gazu.

Prace poza fabryką

W sytuacjach braku gazu do napełniania bomb i pocisków kierowano nas do innej pracy. Nie dotyczyło to tych, którzy pracowali w warsztatach. Najpierw prowadzono nas do pracy w ogrodach poza fabryką. Chodziliśmy także na pola, gdzie były ogrody pracowników fabryki. Musieliśmy tam zasypywać rowy. Naszym kapo przy tej pracy był Bryłka.

Było to dla mnie duże przeżycie, kiedy wyszliśmy poza teren fabryki i zobaczyłem pola zielone. Aż oczy bolały od tej zieleni. Było także świeże czyste powietrze, które wdychaliśmy w płuca. Śpiewy skowronków przywracały nam chęć do życia, a przyjemność słuchania ich sprawiał wrażenie jakbyśmy byli na wolności.

Bryłka gonił nas do pracy i za byle co zapisywał więźniów do ukarania. Zorientowaliśmy się, że nie umie on czytać ani pisać, więc kiedyś ktoś podał mu niewłaściwy numer. Następnie w obozie okazało się, że nie ma takiego numeru. Dlatego sam podchodził do więźnia i spisywał jego numer z bluzy.

Po skończeniu pracy w ogrodach, prowadzono nas do parku za torry kolejowe, gdzie musieliśmy wykopać głęboki rów dla położenia kanalizacji do nowo zbudowanego osiedla mieszkaniowego.

Potem w pobliżu budynku naszej fabryki robiliśmy wielki wykop pod fundamenty nowego budynku. Wówczas widziałem, jak wszyscy SS-mani boją się Galascha, który przychodził na kontrolę. Najbardziej bali się starsi SS-mani, pochodzący ze Śląska, którzy bardzo często drzemali siedząc przy nas, czasem musieliśmy ich budzić. Galasch często przychodził pijany i wówczas był bezwzględny do załogi SS i często karał ich aresztem, który odbywali w Dyhernfurth II.

Kiedyś wyznaczono kilku z nas a m.in. mnie, obydwu braci i kol. Tadeusza Korala do mieszania fosforu i siarki oraz innych składników, ładowanych do dużych beczek metalowych zamykanych wiekami. Robiliśmy tego duże ilości. Potem beczka była zakopywana na terenie fabryki w pobliżu budynków szczególnie ważnych. Przeznaczeniem tej mieszanki było zadymienie okolicy w razie alarmu i ewentualnego zagrożenia bombardowaniem naszej fabryki.

Robiąc, którąś porcję takiej mieszanki jeden z kolegów specjalnie spowodował zapalenie się jej. Wytworzyła ona straszny dym i przez dłuższy czas trudno było wejść do tych pomieszczeń.

Któregoś dnia jakieś większe gospodarstwo rolne zatrudniło nas do pracy na roli. Zawieziono nas do pielienia pola kukurydzy. Przeznaczono każdemu więźniowi po jednym lub dwa rzędkie do wypielienia. Polacy i Rosjanie wrywali kukurydzę, a pozostawiali chwasty, choć uprzednio pouczone nas jak wygląda młoda kukurydza.

Kiedy Niemcy zorientowali się, co zrobiliśmy powstał wielki krzyk, że jesteśmy sabotażystami. Ale nie wiedzieli kogo ukarać za to. Natychmiast zakończono pracę i zawieziono nas z powrotem do obozu.

Któregoś dnia przy ładnej słonecznej pogodzie wyznaczono grupę więźniów do pracy na zewnątrz fabryki. Poszliśmy, gdzieś w kierunku komand Dyhernfurth II, plantowaliśmy tam teren przy młodym zagajniku w pobliżu płotu odgradzającego teren fabryczny. W czasie zarządzanej przerwy w pracy usiedliśmy na ziemi.

Po odpoczynku polecono wszystkim wstać i wówczas raptem zauważyliśmy poza linią SS-manów zrywających się do trzech więźniów, uciekających do zagajnika. Było to szaleństwo, pod okiem wszystkich SS-manów strzelających do nich, jak do przysłowiowych "zajęcy". Byliśmy wszyscy w pasiakach widocznych z daleka.

Polecono nam wszystkim upaść na ziemię i nie ruszać się, a konwojenci zaczęli strzelać do uciekających. Zauważyłem wówczas, że SS-man zwany "Kukułką" strzelał w górę i śmiał się do nas mrugając okiem.

Kiedy uciekający schowali się w zagajniku sosnowym popędzono nas natychmiast do obozu. Powiadomiono o tym komendanta Galascha i dyrektora fabryki. Dyrektor zażądał aby załoga SS odnalazła uciekinierów "żywych lub martwych". Ustalono, że uciekinierami są trzech Rosjanie.

SS-mani z Dyhernfurth II natychmiast obstawili cały teren z tresowanymi psami. Z naszej załogi większość włączono również do poszukiwań zbiegów.

Wszystkich więźniów naszego obozu zebrano na placu apelowym i mieliśmy tak stać aż do chwili odnalezienia uciekinierów.

W międzyczasie przybył do naszego obozu Komendant Dyhernfurth II SS Obersturmführer Karl Braunek. Wygłosił do nas przemówienie mniej więcej tej treści: "Wiecie wszyscy, że komando to jest ściśle tajne i nikt nie może się dowiedzieć nic o jego istnieniu". Gdyby udała się ucieczka jakiegoś więźnia, to natychmiast zostanie zaareztowana cała rodzina tego więźnia nie tylko najbliższa, ale i dalsza i wszyscy zostaną rozstrzelani. Pamiętajcie o tym, aby nikt nie próbował ucieczki, co ona się nikomu nie uda.

Po około jednej do dwóch godzin przyjechał samochód ciężarowy z którego zdjęto ciała zabitych trzech więźniów. Komendant polecił wszystkim przejść pojedynczo koło ciała, aby w przyszłości wiedzieli, co ich spotka przy próbie ucieczki.

Ciała ofiar były w strasznym stanie, poszarpane przez psy SS-mańskie. Wielu więźniów próbowało nie patrzeć na to i w tym momencie zamykali oczy. Niektórzy na widok tych ciał skabli i trzeba było ich podtrzymywać.

Po tym przypadku ucieczki nie posyłano nas więcej do prac poza fabryką.

Sytuacja wewnątrzobozowa

Lagerältesterem był Bernard Mikołajczak, który jak opowiadano pełnił w Gross-Rosen kilka funkcji, a między innymi blokowego, Capo i Obercapo komanda kamieniołomów.

Został zdjęty z tej funkcji za nawiązanie romansu z jakąś pracownicą cywilną biura kamieniołomu i karnie zesłany do Dyhernfurth. Dał się poznać tam jako jeden z największych bandytów katujących więźniów w kamieniołomie. Miał na sumieniu wielu zamordowanych więźniów. W obozie nieraz dawał się we znaki więźniom.

Kilka razy Galasch przychodził pijany do obozu. Wówczas polecał robić natychmiastową zbiórkę, wypędzał wszystkich z bloku i od razu okładał stołkiem wybiegających więźniów.

Następnie ustawiano nas piątkami i polecano każdemu szeregowi przechodzić do przodu i wyrzucać wszystko z kieszeni i rozbierać się do naga. W przypadku znalezienia zakazanego przedmiotu jak np. chusteczki do nosa, nożyka, czy łyżki, więzień był odstawiany na bok, a potem otrzymywał karę 15-25 uderzeń bykowcem. Karę wymierzał sam Mikołajczak, który nienawidził Polaków i Rosjan. Pewien Rosjanin miał na sznurku przyczepioną na szyi łyżkę. Za to przewinienie otrzymał 25 uderzeń bykowcem.

Innym razem Galasch po pijanemu polecał wszystkim więźniom skakać na druty kolczaste i zwoje drutów pod płotem, które nie były wówczas pod prądem, który włączano na noc.

Blokowy Ryszard Kurowski też nie był lepszym od innych. Kiedyś w baraku chwalił się, jak to jemu się powiodło w obozach. Opowiadał, że jeszcze w Auschwitz nie jadał obozowego jedzenia, gdyż przynoszono mu specjalne z kuchni.

Tak samo było i w Gross-Rosen. Bardzo szybko został blokowym.

Wczesną jesienią, albo pod koniec lata 1944 roku zdjęto z funkcji Komendanta obozu Karla Galascha, a na jego miejsce został do tymczasowy jego zastępca SS Unterscharführer Hintz.

W tym też czasie na wniesioną skargę przez więźnia niemieckiego kryminalistę - Hahna, przybył do naszego obozu z Dyhernfurth II

Obersturmführer Karl Brauner, który zdjął z funkcji Bernarda Mikołajczaka i Ryszarda Kurowskiego. Na Legerältestera wyznaczono niemieckiego kryminalistę Kessla, a na miejsce Kurowskiego kryminalistę Hahna.

Jednak bardzo szybko skończyła się ich kariera i dość szybko zostali zdjęci z funkcji prawdopodobnie za nieumiejętność wywiązywania się z powierzonych im obowiązków.

Śmiertelność

Reviru, jako takiego nie było u nas w komandzie. W naszym transporcie z Gross-Rosen przyjechał kol. Marek Wawrzyniak, który jako sanitariusz stworzył namiastkę Reviru. W jednym pokoju na parterze wstawiono kilka prycz dla wymagających kilkudniowej opieki lekarskiej. Leków chyba nie miał, albo jeżeli miał to najprostsze, jakie można było zdobyć w obozie. Wyjednał dla chorych jedzenie bardziej dietetyczne jak np. delikatniejsze zupy zaryzki z maki itp.

Przypadki śmierci w obozie miały przebieg następujący: młody chłopiec z naszego transportu w wieku 16-17 lat słabł z dnia na dzień. Nie wiem co mu dolegało, ale przez ostatnie dni nie chodził do pracy lecz tylko stawał na apele. Normalnie zaś leżał w szopie przy baraku drugim ponieważ reviru jeszcze nie było. Zmarł po kilku dniach. Następnym był więzień z naszego "radomskiego" transportu, który nie okazywał objawów choroby. Pewnego dnia położył się spać wieczorem. Kiedy próbowaliśmy go budzić, okazało się, że nie żyje.

W dniu 24-25 kwietnia 1944 roku idąc w południe z pracy na o-biad zauważyliśmy, że przy baraku SS, przy bramie stoi trójka więźniów z naszego transportu. Stali zrezygnowani i tylko pomachali nam rękami na pożegnanie. Okazało się, że zostali wezwani do Gross-Rosen w celu wykonania wyroku śmierci. Kolegami tymi byli Stanisław Surma ur. 12.04.1900 nr 16430, Roman Sadowski ur. 9.08.1914 nr 16419 i Jerzy Zawal ur. 2.02.1913 nr 16464.

Podobna sytuacja zaistniała w czerwcu 1944 roku, kiedy odesłano kilku więźniów do Gross-Rosen na rozstrzelanie.

Śmierć trzech Rosjan, zastrzelonych przy próbie ucieczki z komanda opisałem poprzednio.

Pamiętam jeden z następnych przypadków śmiertelnych skutkiem spożycia przez więźniów z warsztatu ślusarskiego-spiirtusu metylowego. Nie pamiętam dokładnie ilu ich było czterech czy pięciu. Przypominam sobie, że między innymi był tam Niemiec, Polak i pozostali Rosjanie. Najmniej tego spiirtusu spożył Niemiec, co uratowało mu życie. Natomiast Polak i Rosjanie zmarli. Kolega Tadeusz Korał w swoich wspomnieniach podaje, że było ich pięciu, wszyscy narodowości rosyjskiej.

W Dyhernfurth I była grupa więźniów z naszego transportu, która miała zakaz wszelkiej korespondencji. Mimo to mój brat Stanisław nawiązał kontakt ze Schreiberem naszego komanda Mieczysławem K., przez którego pisywaliśmy listy. Załatwiał te sprawy Niemiec-więzień polityczny numer obozowy 31. Otrzymywaliśmy kilka paczek.

Po jakimś czasie bracia zorientowali się, że Kolega Mieczysław K. wykrada nam lepsze rzeczy z paczek chociaż dzieliliśmy się z nim wszystkim. Paczki wydawał zawsze sam przy udziale Lagerältestera Mikołajczaka. Bardzo często uczestniczył przy tym SS Galasch. Obaj zabierali z paczek wiktuały, które im się podobały.

Porozumieliśmy się wówczas z kolegą Tadeuszem Leśniakiem, który przyjechał naszym transportem do komanda i nie miał zakazu korespondencji. Odtąd korespondencję i paczki adresowano na niego. Kolega Leśniak przynosił nam do szafki całą paczkę. Paczki polepszały

nasze życie w obozie. Przysyłano nam z domu razowy chleb opiekany w tłuszczu, który dodany do zupy zaspokajał głód. Teraz mogliśmy pomagać współwięźniom. Dzieliliśmy się z Kolegą Ostrowskim, Sierputowskim i innymi kolegami.

Późną jesienią, lub zimą 1944 roku odczuwaliśmy dotkliwy brak odzieży i bielizny. Władze obozowe zezwoliły wówczas wielu więźniom na wydanie z magazynu depozytowego w Gross-Rosen ciepłej bielizny osobistej. Wtedy otrzymało wiele osób odzież z domu. Ojciec przesłał nam po jednym swetrze, po dwie pary skarpet, obuwie skórzane, rękawiczki, koszule cywilne.

Te wszystkie rzeczy zobaczył Mikołajczak i oczywiście zabrał najlepszą odzież, ciepły piękny sweter i dwie koszule. Od innych więźniów też zabierał wiele rzeczy dla siebie. Za zabrane rzeczy dawał po jednej misce zupy dziennie. Ponieważ wtedy ustał dopływ paczek z domu, zupa ta miała swoje znaczenie.

Pragnę dodać, że za sprzątanie umywalni otrzymywaliśmy od Kurowskiego dodatkowo po misce zupy. Ponieważ otrzymywaliśmy paczki z domu przeto zrezygnowaliśmy z tej funkcji oddając je znajomym.

Późną jesienią 1944 roku były w nocy duże naloty i bombardowania Wrocławia przez samoloty alianckie. Kierownictwo fabryki i obozu w obawie przed bombardowaniem naszej fabryki zmuszało nas do siedzenia w nocy w piwnicach pod budynkiem. Bombardowania nie objęły naszego terenu.

W dniu 6 września 1944 roku nadszedł do nas transport więźniów z Gross-Rosen. Wśród przybyłych więźniów był Kolega Andrzej Waksmundzki oraz nowi więźniowie z transportu warszawskiego. Zauważyliśmy, że wówczas trafiły do nas numery pośmiertne nadawane ponownie innym więźniom dla ukrycia ilości zmarłych w obozie. Wśród przybyłych trafiły się te same numery kolegów, którzy zostali rozstrzelani w Gross Rosen w kwietniu 1944 roku..

Korzystając z przybycia w ostatniej grupie więźniów z Warszawy aktora Modzelewskiego, kolega Tadeusz Korał wspólnie z w/w i innymi osobami postanowili uczcić święta Bożego Narodzenia występem. Postarano się o choinkę. Ubrano ją, w miarę naszych możliwości. Krawiec uszył koledze Modzelewskiemu ubranie z papieru używanego do zasłaniania okien. Czarne ubranie z białą kamizelką i muszką wyglądało okazałe. Monologi napisał prawdopodobnie sam kolega Modzelewski i recytował je. Kolega Korał przemówił, a na zakończenie rozdarł planszę z datą 31 grudnia 1944, spod której ukazał się napis "Wolność" w kilku językach: polskim, rosyjskim, czeskim i niemieckim. Na tę imprezę byli zaproszeni wszyscy więźniowie całego komanda.

Więźniowie płakali na widok tego napisu. Życzyliśmy sobie wszyscy, aby już w 1945 roku ta wojna się zakończyła i byśmy wszyscy mogli szczęśliwie powrócić do swoich domów i bliskich czekających na nas.

Na tej imprezie był obecny komendant Unterschährführere Hintz. Nie miał do nas pretensji o aluzję dotyczącą wolności w 1945 roku.

W styczniu 1945 roku dowiedzieliśmy się od niemieckiego więźnia politycznego, że front zbliża się do nas, gdyż codziennie duże grupy miejscowych Niemców wraz z rodzinami ucieka na Zachód ze spakowanym dobytkiem na wózkach i sankach. Któregoś dnia Ryszard Kurowski poszedł z w/w po obiad dla SS-manów i przekonał się, że rzeczywiście na drodze jest masa uciekinierów kierujących się do przeprawy przez Odrę i dalej na Zachód.

Nie pamiętam dokładnie skąd dowiedzieliśmy się, że z chwilą powrotu do Gross-Rosen całe nasze komando zostanie zlikwidowane przez rozstrzelanie lub przez zagazowanie, abyśmy tajemnicę produkcji bomb i pocisków gazowych zabrali ze sobą. Wtedy powstał projekt,

aby w czasie ewakuacji rzucić się na załogę SS i zlikwidować ją. Osoby dobrze władające niemieckim miały przebrać się w mundury SS i poprowadzić nas gdzieś bliżej frontu, gdzie mieliśmy oczekiwać na przyjscie wojsk radzieckich. Jednakże przed wyjściem nasz kucharz obozowy, Niemiec zdradził nasz projekt komendantowi.

Ostatnie dni pracowaliśmy bez wytchnienia w dzień i w nocy. Chodziło o wyczerpanie zapasów gazu "Tabun" ze zbiorników. Pociski oraz bomby szły wagonami na zachód.

W dniu 23 stycznia 1945 roku jeszcze pracowaliśmy. Około godziny 10-tej wszystkich zapędzono do obozu. Zjawił się komendant SS i oświadczył, że zaraz wychodzimy w drogę do Gross-Rosen. Polecono nam zabrać koce ze sobą i wszystkie rzeczy osobiste. Mieliśmy wyruszyć pieszo. Kilku więźniów pozostało na izbie rewirowej, a między innymi mój brat Stanisław. Miał on akurat przeciętą stopę i nie mógł iść. Baliśmy się, że pozostających mogą wykończyć na miejscu. Jednak okazało się, że dyrekcja fabryki dała samochód, którym przewieziono ich do Gross-Rosen, gdzie znaleźli się szybciej od nas. Był wśród nich sanitariusz Marek Wawrzyniak.

Przed naszym wymarszem Lagerkomendant oświadczył, że będziemy szli szybkim, forsownym marszem. Zaznaczył, że jeżeli kto kolwiek zachowa się niewłaściwie w czasie marszu, załoga SS bez ostrzeżenia ma do nas strzelać. Obawiano się buntu i zaatakowania ich w czasie marszu.

Najpierw doszliśmy do Odry, gdzie przetransportowano nas na drugi brzeg. Potem szliśmy trasą przez miejscowości: Gąsiorów, Owieczki, Kobylniki, Szczepanów, Środę Śląską, Targoszyn do Gross-Rosen.

Na całej trasie leżał wówczas dość duży śnieg. Na ten marsz założyłem oprócz skarpetek wełnianych skarpetki z materiału, które chroniły skarpety przed podarciem.

Od początku konwojenci przyjęli bardzo szybkie tempo marszu. Jednakże musieli nieco zwolnić, bo nie nadążaliśmy za czołem kolumny, zwłaszcza więźniowie starci wiekiem. Zresztą odwykliśmy od marszów, bo fabryka była kilka metrów od obozu.

W jakiejś miejscowości zatrzymano nas na drodze. Zaraz wszyscy usiedli w rowie.

Kiedy zdjąłem swoje buty i skarpetki, zobaczyłem, że całe stopy mam w pęcherzach. Próbowałem przykładac zimny śnieg. Dawało to trochę ulgi, ale pęcherze pozostały.

Na nasze szczęście zarządcono tutaj nocleg w jakiejś oborze. Z przemęczenia spałem do wczesnego rana, aż nas obudzono do dalszego marszu. Czułem, że źle będzie ze mną w dalszym marszu, bo stopy strasznie mnie bolały.

Po pewnym czasie w marszu czułem taki ból stóp, że traciłem przytomność. Wiem, że byłem prowadzony pod ręce przez dwie osoby. Jedną był brat Adolf, ale kto był drugi, to tego nie wiem.

Pod wieczór brat odezwał się do mnie: "Romek zbierz siły już jesteśmy niedaleko Gross-Rosen, zobacz". Rzeczywiście, w tym momencie odzyskałem przytomność i zauważyłem światła oświetlające ogro-dzenie obozowe.

Z trudem doszedłem do obozu o własnych siłach. Obozu nie poznaliśmy tak został rozbudowany. Plac apelowy został przeniesiony i był dużo większy.

Brama obozowa była przesunięta do przodu i zabudowana z dwóch stron a poza tym miała wieżę na wierzchołku. Dostawiono także baraki z przodu tuż za bramą. Na miejscu dawnego placu apelowego postawiono oddzielny barak odgradzony od całości drutem kolczastym. Poza tym za terenem starego obozu na przedłużeniu głównej drogi obozowej zbudowano drugi taki sam duży obóz. Przy jego wejściu by-

ła brama i budka, w której urzędował SS-man i zapisywał wszystkich wchodzących i wychodzących. Obóz ten nazwano oświęcimski.

W chwilę po naszym przyjeździe ogłoszono alarm lotniczy i pogaszone światła na terenie całego obozu. Po ciemku zaprowadzono nas do baraku nr 6 przeznaczonego dawniej dla młodocianych. Blok był już przepełniony. Spaliśmy więc w dawnej sali jadalnej oraz w umywalni. Na sztubie "A" spotkaliśmy brata Stanisława. Ponieważ nie wszyscy zmieścili się w bloku nr 6, to innych więźniów Dyhernfurth I umieszczono w innych barakach na terenie starego obozu. Więźniowie ewakuowani z komand byli kierowani na obóz "oświęcimski". Świadczyło to o tym, że Niemcy chcą nas mieć pod ręką, aby coś z nami zrobić. Jeszcze tego samego dnia odnalazł nas ojciec. Była to dla nas wielka radość widzieć ojca całego. Mieszkał nadal na bloku nr 12 i pracował w Effektenkammer, gdzie przyjmowano do depozytu odzież od więźniów przywożonych do obozu.

Od ojca dowiedzieliśmy się, że wiosną 1944 roku przywieziono do obozu pana Zygmunta Wodzickiego, leśniczego podlegającego w pracy ojcu. Był on aresztowany jeszcze przed nami i jako zakładnik więziony w Tomaszowie Mazowieckim. Świadomość pobytu w obozie koncentracyjnym załamała go psychicznie. Nie pomogły starania ojca o uratowanie go i zmarł wkrótce w obozie. Gestapo dręczyło go psychicznie. Dwukrotnie wyprowadzono go w grupie osób na rozstrzelanie. Na jego oczach rozstrzelali wszystkich innych mówiąc, że tak samo z nim zrobią, jeśli się nie przyzna, że należał do podziemnej organizacji. Prawdopodobnie te przeżycia spowodowały jego załamanie psychiczne w obozie.

Drugiego leśniczego Antoniego Osińskiego wraz z grupą innych zakładników z Tomaszowa Mazowieckiego rozstrzelano przy krematorium w Gross-Rosen.

W obozie znaleźli się także inni członkowie naszej grupy AK: Jan Dziewiszek pseudonim "Stefan" dowódca oddziału Koluszkki-Brzeziny i jego siostrzeniec Kazimierz Zagajewski obydwie rodziny Dziewisków i Zagajewskich wpadły w ręce Gestapo.

Jedynie Włodzimierz Dziewiszek przebywający akurat w lesie nie został aresztowany. Aresztowano wtedy: Jana Dziewiszka, Kazimierę Dziewiszek żonę, córki Barbarę, Reginę i Zofię, panią Zagajewską, jej córkę Jadwigę i syna Kazimierza. W mieszkaniu znaleziono gazetki i biuletyny z drukarni podziemnej, co stanowiło rzeczywisty dowód przynależności do AK.

W czasie rozmowy z Kazimierzem Zagajewskim jeden z gestapowców uderzył go w twarz. Wówczas Jadwiga - siostra stanęła w jego obronie pytając za co bije brata, skoro Niemcy uważają siebie za dżentelmenów. Gestapowiec natychmiast wyprowadził Jadwigę na dwór i za chwilę zastrzelił w ogrodzie.

W Tomaszowie zwolniono do domu jedynie najmłodszą Zofię Dziewiszek, a pozostałe kobiety skierowano do Ravensbrück, gdzie pani Zagajewska zmarła. Jej córki powróciły do kraju poprzez Szwecję. Jan Dziewiszek i Kazimierz Zagajewski trafili do Gross-Rosen gdzie zginęli w czasie transportów ewakuacyjnych.

W Gross-Rosen panował straszny głód powodujący wielką śmiertelność. Nieraz przy bloku nr 6 usytuowanym przy Lagerstrasse i widziałem jak do drugiego obozu transportowano jedynie zupę, chleb.

Czyhały na to między barakami zgraje głodnych, wynędzniałych więźniów. Kiedy pokazywał się wóz ciągnięty przez więźniów, otoczony przez Lagerältesterów z komand obozowych, kapów uzbrojonych w kije, wyskakiwały gromady więźniów rzucające się na wozy, porywające chleby, wywracające na drogę wiadra z zupą, którą potem zjadano zgarniając rękami.

Bito ich niemilosierdzie, lecz niektórym udało się zdobyć chleb, lub nabrać trochę zupy. W następnych dniach konwoje przy wozach podwajano, a nawet potrajano. I to nie odstraszało głodnych więźniów. Niejeden z nich pozostawał martwy na szosie po silnym uderzeniu kijem.

Śmiertelność w obozie bardzo wzrosła. Widziałem jak z drugiego obozu wywożono na dużych platformach zmarłych więźniów. Któregoś dnia zauważyłem nawet więźnia funkcyjnego z długimi włosami. Prawdopodobnie w nocy został zgładzony przez współwięźniów za popełnione zbrodnie. Z pewnością nie zmarł z głodu.

Ojciec przyniósł cywilne ubrania ze znakami obozowymi. Wówczas nie malowano czerwoną farbą krzyży na plecach ubrań lecz wycinano kwadratowe otwory i wszywano tam kawałki materiału z pasiaka obozowego.

Dostałem także nowe buty, gdyż stare oddałem koledze. Przebierali się w lepsze ubrania wszyscy więźniowie, którzy mieli możliwości zdobycia odzieży.

Wiedzieliśmy, że są wysyłane transporty z Gross-Rosen do innych obozów. Więźniowie z Dyhernfurth I przez cały czas obawiali się, że Niemcy nas wykończą. Ocalenie chyba zawdzięczamy narastającemu bałaganowi i chaosowi w obozie. Poza tym Politische Abteilung nie miało po prostu czasu, aby zająć się nami w sposób uprzednio zaplanowany.

Ewakuacja z Gross-Rosen i zakończenie

W dniu 9 lutego 1945 roku wezwano całe nasze komando na plac apelowy i sprawdzono, czy wszyscy są obecni. Zamierzaliśmy początkowo ukryć się na terenie obozu w czym ojciec chciał nam pomóc. Ale obawialiśmy się, że wielu więźniów znało nas i mogliby przypadkowo zdradzić się wieścią, że jesteśmy gdzieś w pobliżu. Obawialiśmy się także, że za nasze ukrycie odpowie ojciec, a do tego nie mogliśmy dopuścić.

Po sprawdzeniu stanu dołączono do kolumny więźniów z innych podobożów. Kiedy ruszyliśmy w kierunku dworca kolejowego słyszeliśmy wyraźne wybuchy z dział artyleryjskich, co wskazywało na bliskość frontu.

Na stacji oczekiwały na nas wagony-węglarki, do których załadowywano nas w takiej ilości, że mogliśmy jedynie stać ściśnięci jeden przy drugim. Nie było mowy o tym, aby usiąść. Stanęliśmy z braćmi przy ścianie wagonu, aby można się było chociaż oprzeć o tę ścianę. W obozie otrzymaliśmy po bochenku chleba i po pół puszki konserw. Wszystko to było bardzo smaczne, lecz postanowiliśmy rozłożyć sobie te porcje na kilka dni, gdyż nikt nie wiedział jak długo potrwa podróż. Wielu więźniów nie mogło się powstrzymać i już w drodze do dworca spałaszowali cały swój przydział.

W czasie podróży nie mogliśmy ustać na nogach. Wówczas przykucałiśmy na zmianę na podłodze wagonu, dając odpoczynek nogom. Transport ten miał kilkadziesiąt wagonów. Na wielu stacjach bocznicach nieraz staliśmy przez dłuższy czas. Przepuszczano w tym czasie transporty wojskowe.

Nie pamiętam kiedy dowieziono nas do jakiejś stacji, z której mieliśmy iść do obozu, prawdopodobnie do obozu Buchenwald. Lecz obóz ten przed naszym przyjazdem został zbombardowany i nie przyjął nas. Po pięciu dobach dnia 14 lutego 1945 roku w nocy zatrzymano nasz transport na stacji w Mauthausen.

Kiedy wysiadaliśmy z wagonów, zobaczyliśmy wielkie ilości zmarłych więźniów pozostałych w wagonach, choć w drodze dużo trupów wy-

rzucano przy torach. Były też przypadki, że w czasie tego transportu bez jedzenia i picia wielu więźniów dostawało gorączki i szaleń. Do krzyczących i wyskakujących z wagonów konwojenci strzelali zabijając i raniąc wielu.

Nasz transport liczył w chwili załadunku około 5 tysięcy więźniów. Do Mauthausen dotarło około 2 tysięcy.

W Mauthausen otrzymaliśmy numery: Adek 128303, Staś 128394, a ja otrzymałem numer 129841. W łazni nie mogłem się oprzeć chęci napić się wody. Nie wiem, dlaczego po tym spuchłem. Ciało moje stało się elastyczne. Kiedy ucisnąłem palcem rękę czy nogę dłuższy czas pozostawało w tym miejscu zagłębienie. Koledzy oznajmili mi, że jestem wyznaczony na Revir, radzili abym zmył szybko napisy kopciowym ołówkiem na plecach, lecz im odpowiedziałem, że jest mi wszystko jedno, co ze mną zrobią. Wielu zmyło te napisy i nie poszło na Revier.

Revier mieścił się poza obozem głównym. Poszedłem tam w dużej grupie więźniów. Położono mnie jako czwartego na jednej z prycz. Było nam bardzo ciasno, ale mimo to wypoczywałem.

Po około 14 dniach komisja lekarska skierowała nas ponownie do obozu. Znalazłem się w tak zwanym trzecim obozie, z których każdy był oddzielony murem. Nie zastałem tam braci, których umieszczono w drugim obozie. Na moje wezwanie przyszedł do dziury w murze. Dowiedziałem się od nich, że są w baraku 24. Szczęściem na terenie naszego obozu znalazł się kol. Marek Wawrzyniak z Dyhernfurthu I, gdzie pełnił funkcję sanitariusza. Dopomógł mi on przenieść się do braci, jako że miał tutaj znajomości.

Odtąd byliśmy razem wszyscy trzej i było nam rażniej. W tym baraku znalazła się większość więźniów z naszego komanda, w Dyhernfurth. Byli tam wszyscy Niemcy i Ryszard Kurowski. Mieszkali oni w lepszych warunkach na pierwszej sali.

Wyzwolenie

W początkach marca 1945 roku zostaliśmy wyznaczeni w dużej grupie więźniów do pracy. Jeździliśmy codziennie pociągami do miejscowości Amstetten, gdzie pracowaliśmy przy reperacji torów kolejowych, które były stale bombardowane.

Bratu Adamowi zrobił się wrzód na kolanie i nie mógł chodzić. Radziliśmy mu, aby poszedł na Revier. Bał się. Wysłaliśmy go tam w dniu 14.03. W dniu 15 marca 1945 r. utworzono z nas specjalne komando robocze, pozostające na stałe w Amstetten, zakwaterowane w dużej hali otoczonej drutem kolczastym. Pracowaliśmy tutaj na dwie zmiany, w dzień i w nocy przy włączonych reflektorach. Był tam straszny głód i wszyscy coraz bardziej słabli tracąc resztki siły. Ja również czułem się źle, gdyż nabawiłem się krwawej dezenterii. Sądziłem, że zbliża się mój koniec. Tymczasem uratował mnie przypadek. Któregoś dnia akurat po bombardowaniu cywile prosili naszych konwojentów, abyśmy oczyścili z gruzów ich zbombardowany dom. Wyznaczono do tego mnie i kilku innych więźniów. Przez odkopane wejście zeszliśmy do piwnicy. Po omacku w ciemności natrafiłem na beczkę z kapustą kiszoną. Z wiarą, że to mi nie zaszkodzi i wypilem ze trzy garście soku, a potem zjadłem trochę kapusty. Wkrótce potem wszelkie dolegliwości ustały.

W tym czasie ogłoszono alarm lotniczy. Biegiem popędzono nas do przyległego lasu. Wtedy zaczęło się bombardowanie. Bomby konfuzowały i zabiły kilku więźniów.

Na szczęście z bratem Stanisławem byliśmy w lesie. W Amstetten

pracowaliśmy do chwili zbliżenia się frontu, to jest do dnia 16 kwietnia 1945 roku. Nas ewakuowano dalej, a najsłabszych i trupy zmarłych odesłano do Mauthausen.

Około 18 kwietnia dowieziono nas do jakiejś doliny, do której prowadził bardzo długi tunel. Okazało się, że jest tutaj poza miastem podobóz Mauthausen-Ebensee zwany przez więźniów "doliną głodu", albo "komandem cement".

Było to duże samodzielne komando, mające nawet swoje krematorium, piekarnię dla wypieku chleba itp. Wypiekano tam wspaniały chleb zrobiony z otręb z małym dodatkiem maki oraz trocinami drzewnymi. Bochenki tego chleba rozpadały się. Toteż otrzymywaliśmy swój przydział przeważnie w formie garści okruchów.

Była tam duża śmiertelność wśród więźniów i głód nie do opisanie. SS-mani jadalі ziemniaki. Dla więźniów zaś gotowano jedynie zupę na obierkach ziemniaczanych. Obierki zjadali przeważnie funkcyjni. Dla nas pozostawała woda po obierkach. A funkcyjnych tam nie brakowało, byli oberkapowie, kapowie, Vorarbeiterzy, blokowi, sztabowi i obozowa policja powołana do utrzymywania porządku. Większość więźniów pracowała w sztolniach wykuwając olbrzymie groty, do których miały być w późniejszym czasie wprowadzone maszyny produkujące wojenny sprzęt.

Z Amstetten skierowano nas do pracy podobnej tj. do reperacji torów w miejscowości Attnang Puchheim. Dowożono tam nas pociągiem elektrycznym. Początkowo musieliśmy pieszo dochodzić do pracy na odległość około kilometra, gdyż alianckie samoloty zbombardowały tory kolejowe i domy znajdujące się w pobliżu kolei.

Pracowaliśmy przy zasypywaniu dołów po bombach. Musieliśmy dźwigać podkłady i szyny, układając tory. Ja słabłem coraz bardziej i w ostatnich dniach już nie miałem siły pracować. Wstawaliśmy do pracy około godziny 3-ciej rano, powracaliśmy do miejsca zamieszkania około godziny 22-giej. Nocą otrzymywaliśmy okruchy jedzenia z zimną czarną kawą /obiad przywożono nam do pracy/.

W dniu 2 lub 3 maja nie miałem siły pójść do pracy i brat Stanisław poszedł sam /ostatnio prowadzano mnie z pracy i do pracy, bo nogi odmawiały posłuszeństwa i nie miałem siły iść. Było zresztą jeszcze kilkunastu podobnie wynędziałych więźniów.

Rano wpadli do baraku funkcyjni z obozową policją i zaczęli nas okładać kijami. Mnie zdzielili tak mocno, że straciłem przytomność. Wyrzucono nas poza baraki. Dopiero po przyjsciu z pracy odnalazł mnie brat i wyratował, bo poszedłbym do pieca.

3 lub 4 maja 1945 r. Lagerkomendant wezwał wszystkich więźniów na plac apelowy i oznajmił, że chce nas uratować, ponieważ alianci zamierzają zbombardować obóz. Dlatego chcą zaprowadzić nas do sztolni, gdzie będziemy bezpieczni.

Więźniowie pracujący w sztolni dowiedzieli się od austriackich majstrów, że zaminowali już tam pomieszczenia, aby dokonać mordy.

Więźniowie ci byli zorientowani w tych przygotowaniach i nawet próbowali w niektórych miejscach uszkadzać kable doprowadzające prąd do min.

W takiej sytuacji wszyscy więźniowie solidarnie odmówili pójścia do sztolni, oświadczając że pozostaną na miejscu. Lagerkomendant nie zdecydował się, aby na siłę zapędzić wszystkich więźniów do sztolni. Działo się to w sytuacji, kiedy wkoło była już armia amerykańska. Jedynie my w tej kotlinie oczekiwaliśmy wyzwolenia.

W nocy 5/6 maja 1945 r. załoga ssmańska uciekła pozostawiając cały obóz pod nadzorem Volkssturmu składającego się ze staruszków. Przeczorniejsi funkcyjni więźniowie przecięli druty i pouciekali tej nocy.

W dniu 6 maja 1945 roku, około godziny 10 rano wjechały przez bramę obozu pojazdy armii amerykańskiej. Ogarnęła nas szalona radość. Wszyscy padali sobie w ramiona i cieszyli się z wolności. Mimo utraty sił również wziąłem udział w radosnym powitaniu wyzwolicieli.

Z grupy więźniów Dyhernfurthu I odzyskali wtedy wolność kol.kol. Tadeusz Król, Alojzy Leszczyński, Józef Moskalewicz, Mikołaj Korolko, Mieczysław Kornacki, Bryłko, Wojciech Matjaszczyk i my Stanisław i Roman Konarzewscy.

W dniu 10 lipca 1945 roku powróciliśmy do domu. Radość z naszego powrotu przyćmiewała wieść smutna od kolegi dyhernfurczyka, w której zawiadamiał, że Roman Konarzewski został zagazowany w dniu 3 maja 1945 roku w Mauthausen. Dla rodziny radosnym był fakt, że ja żyję. Ale ża ze Stachem wiedzieliśmy, że zagazowano naszego brata Adolfa.

Po kilku latach spotkałem naocznego świadka tego tragicznego wydarzenia, kolegę Ludwika Sierzputowskiego. Wspominał, że byli razem z Adolfem na trzecim obozie. Wyznaczano tam kolejne grupy do zagazowania po tysiąc więźniów każda. Pozostało ich jeszcze około 1600.

W dniu 3 maja 1945 roku wyznaczano ich obydwóch do gazu. Sierzputowski namawiał brata do ucieczki i ułożenie się między trupami, których stosy leżały pod ścianami. Nikt by ich nie poznał, bo także byli jedynie w bieliźnie. Lecz brat był już kompletnie załamany psychicznie i zobojętniały na swój los. Powiedział tylko: "ja zostaję, a ty jak przeżyjesz to powiedz jak było". Sierzputowski uciekł i uratował życie, a brat Adolf poszedł ostatnim transportem do zagazowania.

Następnego dnia 4 maja 1945 r. SS-mani uciekli, a 5 maja 1945 przyszła armia amerykańska.

Ojciec nasz Stanisław Konarzewski numer obozowy 16604 wyszedł z Gross-Rosen dnia 15 lutego 1945 roku w ostatniej grupie więźniów. Szli w kierunku Czechosłowacji.

Ostatecznie ojciec doszedł do Leitmeritz z komando Flossenbürg, gdzie otrzymał numer 87602. Prawdopodobnie zginął w końcu kwietnia, lub początkiem maja 1945 r. Mimo usilnych starań nie zdołałem ustalić, gdzie i w jakich okolicznościach zginął. Do domu i rodziny nigdy nie powrócił.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.3.10.

DYHERNFURTH I - TO BRÓŃ CHEMICZNA PRZECIW LUDZKOŚCI

W czasie mego pobytu w hitlerowskich obozach koncentracyjnych /Oświęcim, Gross-Rosen, Dyhernfurth, Mauthausen/ w latach 1942-1945 przez przeszło pół roku pracowałem w filii obozu Gross-Rosen: Dyhernfurth I, gdzie był produkowany przez fabrykę "Anorgana" gaz bojowy tabun.

W obozie tym, prawdopodobnie ze względu na ścisłą tajemnicę, więźniowie byli całkowicie izolowani od innych ludzi, a w przypadkach koniecznych spotkań nie wolno było się odzywać /pod karą rozstrzelania/. Komando to było ściśle tajne /Geheimmisskommando/. W okresie największego nasilenia produkcji, tj. w początkach roku 1944, pracowało w Dyhernfurthcie około 180 więźniów różnych narodowości: Polacy, Rosjanie, Czesi, Niemcy. Największy odsetek stanowili jednak Polacy. Praca w fabryce polegała na napełnianiu pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych płynnym gazem bojowym - tabunem i odbywała się systemem taśmowym: na podajniki nakładano próżne pociski względnie bomby /kilka ton dziennie/, które podawane były pod kurek z płynnym gazem, a po napełnieniu i zamknięciu dostarczano je do magazynu względnie wprost do czekających wagonów. Każdy pocisk po napełnieniu i zamknięciu przechodził przez komorę o zmniejszonym ciśnieniu w celu sprawdzenia szczelności zamknięcia gazu. Czynność ta, podobnie jak i napełnianie, była wykonywana przez więźniów.

Niemniej jednak zdarzały się dość często przecieki niektórych sztuk i wówczas wagony zawracały do fabryki, gdzie były rozładowywane przez więźniów, a pociski sprawdzane na przeciekanie. Przy napełnianiu pocisków /pod specjalnym kloszem/ więźniowie pracowali w maskach przeciwgazowych, a atmosfera była wentylowana powietrzem z domieszką amoniaku. Do tych codziennych czynności dochodziły sporadycznie inne, jeszcze bardziej niebezpieczne dla życia, jak czyszczenie podziemnych zbiorników po gazie lub kontrola znajdujących się wewnątrz urządzeń. Wszystkie inne prace, poza napełnianiem i kontrolą szczelności oraz zbiorników, odbywały się bez używania masek, mimo iż były one połączone z narażeniem zdrowia. Co więcej, zdarzały się często przypadki, że po kilku więźniów SS-mani zamykali bez masek na dłuższy czas w pomieszczeniach fabrycznych, gdzie składowano napełnione gazem pociski, lub w wagonach wyładowanych granatami /zamykano także na krótki czas więźniów w komorze o zmniejszonym ciśnieniu/. Poza działalnością produkcyjną na terenie zakładów "Anorgana", a ściśle mówiąc na naszym oddziale, gdzie pracowali więźniowie, można dzisiaj powiedzieć, że odbywały się prawdopodobnie eksperymenty na więźniach. Jaki mógł być cel tych niewątpliwych dzisiaj doświadczeń na więźniach /którym zresztą sam podlegałem/ trudno mi dokładnie powiedzieć. Przypuszczam, że dokonywane doświadczenia podyktowane były względami praktycznymi, ponieważ chodziło o sprawdzenie w ten sposób toksyczności ładunku - transport, który przejmował personel kolejowy, lub też chodziło o następstwa lekkich zatruc i czas rekonwalescencji. Eksperymentom tym nie podlegali wszyscy więźniowie lecz tylko kilkunastu. Czym kierowały się władze wybierając tych ludzi do doświadczeń, trudno wiedzieć. Można się dzisiaj domyślać, że byli to ludzie w zasadzie

przeznaczeni na śmierć. Po ewakuacji do obozu Mauthausen dowiedziałem się od przyjaciół pracujących w kancelarii, że w kartotece mam napisane "powrót nie pożądan". Inni koledzy przyjechali już do Dyhernfurthu z wyrokami śmierci. Jak mogę sobie przypomnieć, doświadczeniom było poddawanych blisko 20 więźniów. Pięciu lub sześciu zginęło /w czasie doświadczeń/ i zostali przewiezieni do krematorium do Gross-Rosen. Myślę, że z całego komando żyje rozsianych gdzieś po całym świecie kilkunastu ludzi. Olbrzymia większość zginęła z wycieńczenia lub została zastrzelona w czasie ewakuacji. Jak mi wiadomo, Gestapo szukało ludzi z komando Dyhernfurth już w Mauthausen. Być może, że złapanych zlikwidowano dodatkowo. Przy tego rodzaju pracy /zwłaszcza doświadczeniu/ zdarzały się niemal codziennie przypadki silniejszych zatruc u kilku więźniów, a niekiedy przypadki bardzo groźne. Silne, bóle głowy, czasowy zanik widzenia na skutek silnego zwężenia się źrenic, silne wydzielanie się śluzu z nosa, czasem omdlenia były objawami zatrucia, które mijały po upływie jednego lub kilku dni. Ciężkie przypadki, jeśli nie skończyły się śmiercią, nie leczono na miejscu lecz kierowano w nieznanym kierunku.

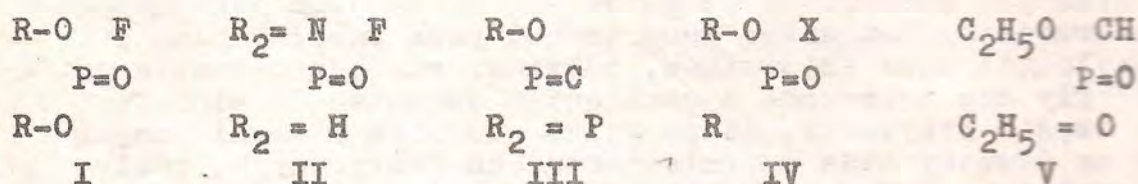
Po wyjściu z obozów koncentracyjnych interesowało mnie jako chemika pytanie, jakie gazy bojowe były przygotowywane w czasie II wojny światowej i jakie własności toksyczne wykazywały, a zwłaszcza produkowany w fabryce Anorgana w Dyhernfurthcie gaz tabun.

Na ten temat pojawiło się kilka publikacji /np. M. Sartori: Chem Rews 48.255, 1951/, z których przytoczę w skrócie najważniejsze informacje.

Prace nad syntezą nowych, nieznanych jeszcze do II wojny gazów bojowych zostały zapoczątkowane już w roku 1940. W wyniku przeprowadzonych badań nad syntezą i własnościami toksycznymi tysiąca różnych związków okazały silne własności trujące połączenia:

- 1/ grupy iperytu
- 2/ fluorooctany i
- 3/ fluirifosforany

Ta ostatnia grupa związków obejmuje pochodne dwuestrów kwasu fluerofosforowego /I/, dwusmiafosforylefluorki /II/ i inne pokrewne substancje takie jak estry kwasu fluorofosforowego z podstawnikami amino alkilowymi /III/ oraz związki o ogólnym wzorze /IV/



We wzorach tych R = alkiem lub arylem a X halogenem lub cyjankowym podstawnikiem.

Etylowy ester kwasu dwuacetylo - amino - cyjano fosforowego o wzorze /V/ nosił nazwę tabun lub trilon 83.

Według US Strategie Rombiny Progress, Ministerial Report No Exhibit CH Oil Division 1947 Zakłady produkcyjne w Niemczech /Dyhernfurth/ z końcem II wojny światowej zdolne były produkować 1 000 /tysiąc/ ton tego gazu miesięcznie.

Pod względem chemicznym przedstawione typy związków stanowią ciecze trudnolotne, które w ośrodkach alkalicznych łatwo ulegają hydrolizie, w następstwie czego tracą własności toksyczne.

Badania przeprowadzone nad działaniem toksycznym tej grupy związków /Cohen, Harris, Van Artsdalon, Perkins: J.Org.Chem. 11.531.1946/ wykazały, że chemiczne związki fosforoorganiczne są silnymi inhibi-

torami enzymu plazmy-Cholinesterazy. Zahamowanie aktywności tego enzymu jest progresywne i nieodwracalne. Związki te mogą działać na organizm przez drogi oddechowe, śluzówkę oczu, przez skórę i przewód pokarmowy. Przy tym znamienym jest fakt, że o ich obecności nie ostrzega nas żaden ze zmysłów. Zatrucie objawia się silnym zwężeniem źrenic na przeciąg kilku dni, silnym osłabieniem widzenia zwłaszcza wieczorem, zwiększonym wydzielaniem się śluzu z nosa i ślinotokiem. Równocześnie występują silne bóle głowy i uczucie duszności.

Na podstawie zebranego materiału wielu obserwowanych przypadków zatrucia zwierząt /a także nieszczęśliwych wypadków z ludźmi/ związkami fosforoorganicznymi wyróżnia się objawy typu:

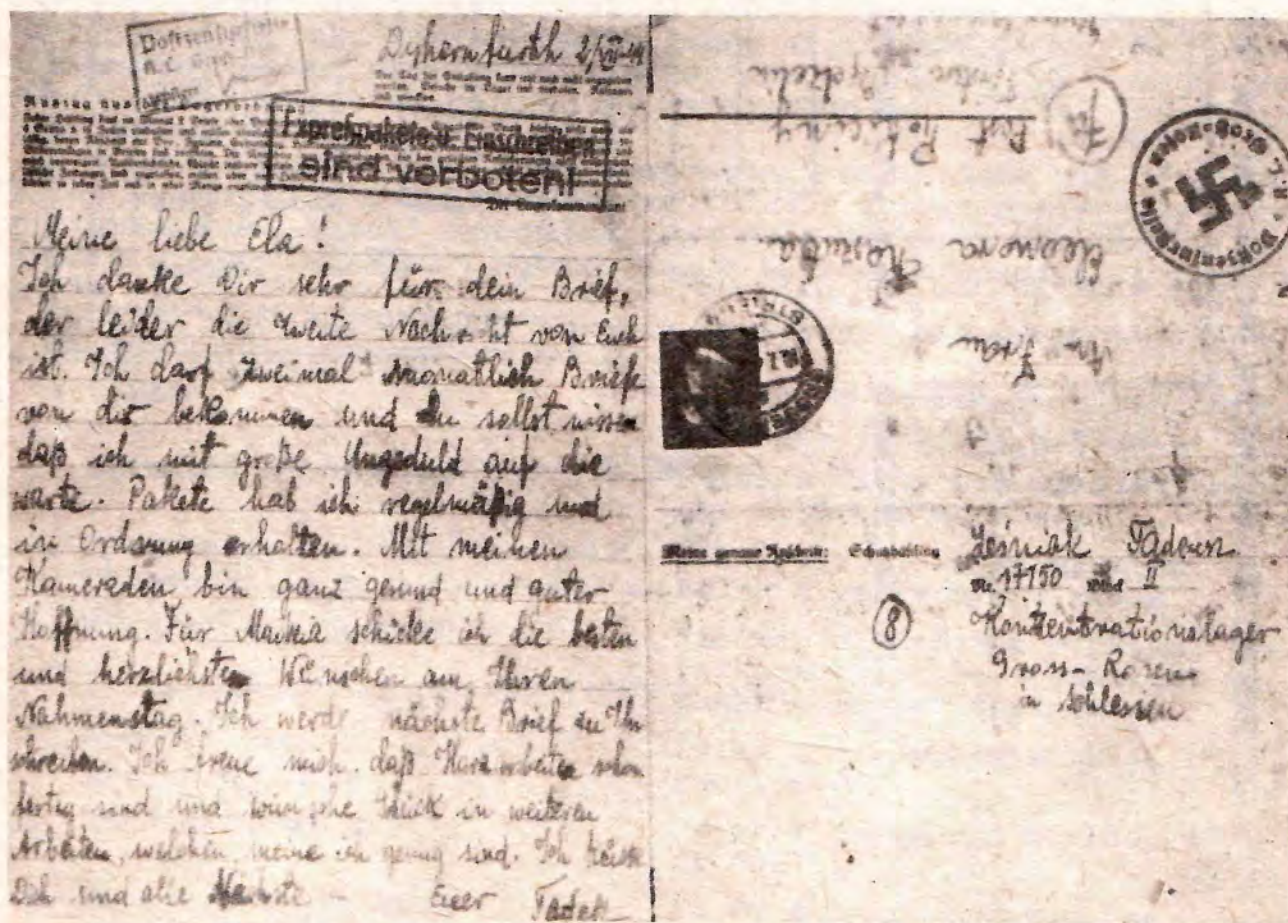
1/ zatrucia muskarynowego w przypadku niewielkich dawek, trwające 5-7 dni

2/ typu nikotynowego w przypadku ostrego zatrucia.

Lekkie zatrucie występuje już po 4 minutach przebywania w atmosferze zawierającej 0,0005 mm tabunu w 1 litrze powietrza.

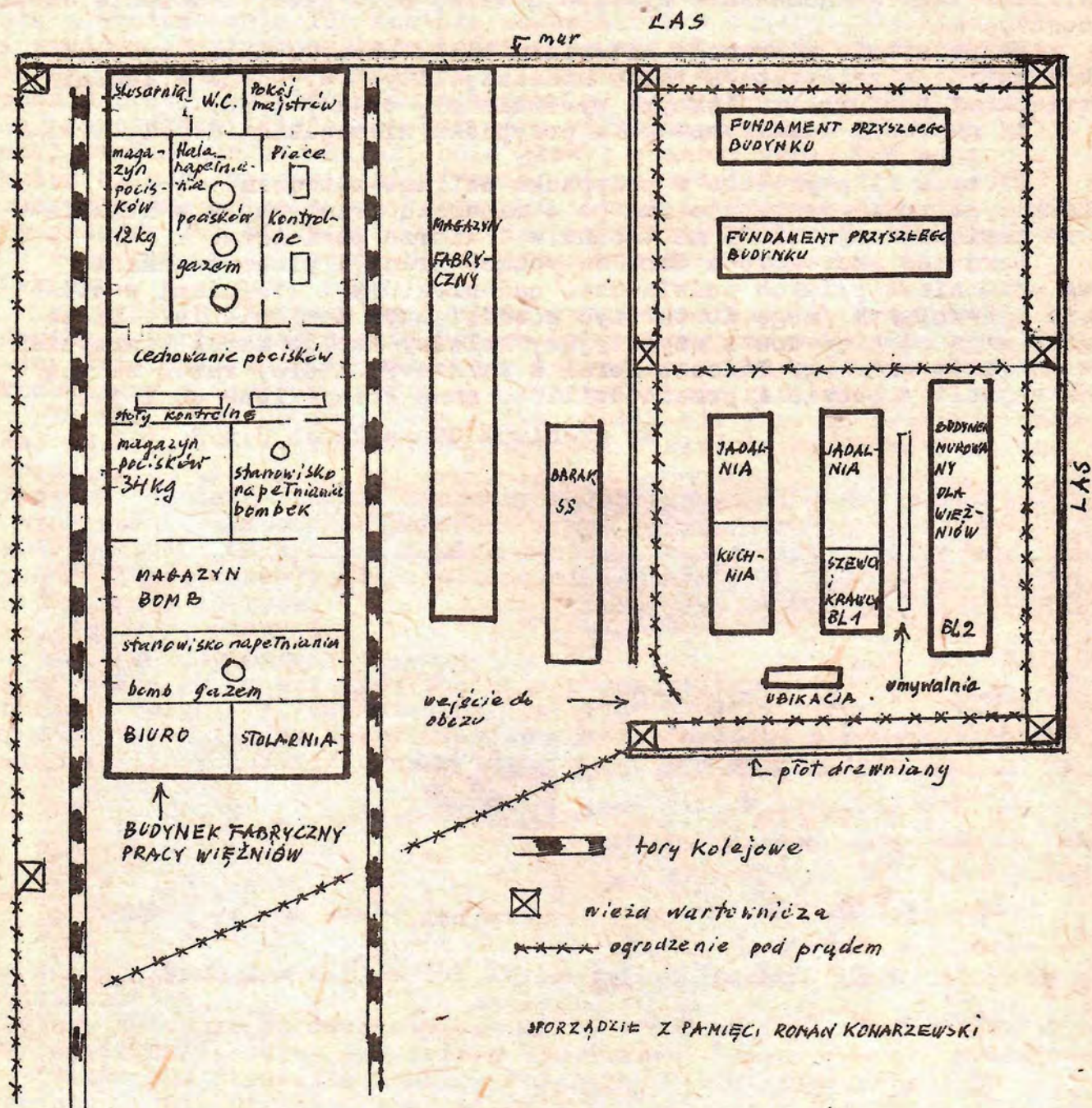
Bardziej szczegółowe dane dotyczące pracy i przeprowadzanie wg mnie niewątpliwych doświadczeń nad niektórymi więźniami w obozie Dyhernfurth /mogę dostarczyć w oddzielnym doniesieniu/. Szczegóły mogą również dostarczyć żyjący koledzy doc.dr Marek Wawrzyniak w Lublinie oraz mgr Tadeusz Korał z Warszawy, którzy razem ze mną przebywali w obozie i przechodzili te same koleje losu co i ja.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.3.16.



List z obozu Dyhernfurth I pisany przez Tadeusza Leśniaka dnia 2 lipca 1944 roku. Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.42.

SZKIC KOMANDA DYHERNFURTH I



Szkic obozu Dyhernfurth I sporządzony przez Romana Konarzewskiego
Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.1.2.

WSPOMNIENIA Z DYHERNFURTH I

Urodziłem się 26 marca 1914 roku. Podczas okupacji zamieszkiwałem w dawnym województwie poznańskim. W dniu 10 września 1941 roku zostałem aresztowany przez Gestapo i przetransportowany początkowo w Kościanie, a następnie umieszczony w Forcie VII w Poznaniu, gdzie gestapowcy oprócz przesłuchań i katowania wymyślali najprzeróżniejsze szykany wobec więźniów politycznych.

W dniu 13 grudnia 1941 roku zostałem w dużej grupie więźniów skierowany do Auschwitz, gdzie otrzymałem numer obozowy 24487. Następnie zostałem skierowany do Birkenau i wyznaczony do zagazowania. Dzięki pomocy kolegów więźniów udało mi się uratować życie.

Obawiając się ponownego wyznaczenia do zagazowania wpisano mnie do transportu do innego obozu. Tak trafiłem w dniu 6 lutego 1943 roku do Gross-Rosen, gdzie otrzymałem numer 8400.

Obóz Gross-Rosen był bardzo ciężkim obozem, w którym więźniowie masowo umierali na skutek wycieńczającej pracy w kamieniołomach. Obóz był wówczas w rozbudowie. Po powrocie z pracy do obozu, niejednokrotnie musieliśmy jeszcze ciężko pracować. Chyba w dniu 12 marca 1943 roku zorganizowano grupę więźniów do pracy na jakimś z komand. SS-mani przepytывali naszą grupę, kto ma jaki zawód. Powiedziałem, że jestem rolnikiem. Wyznaczono mnie między innymi do tego nowego komanda.

W dniu 13 marca 1943 roku samochodami zawieziono nas do miejscowości Dyhernfurth i umieszczono na terenie fabrycznym, gdzie były postawione dwa baraki drewniane oraz mała ubikacja drewniana. Pośrodku między barakami był wodociąg z kilkoma kranami i korytem do mycia się.

Jeśli pamiętam w naszej grupie przyjechało około 30 więźniów, a między innymi:

- | | |
|--|---|
| 1. Kluge | Niemiec z czerwonym odwróconym winklem, dezterter z wojska |
| 2. Kornacki Mieczysław | Polak z czerwonym winklem, który był pisarzem obozowym |
| 3. Niedziela | Niemiec z zielonym winklem |
| 4. Paczyński Leon | Polak z czerwonym winklem |
| 5. Mikołajczak Bernard | Niemiec z zielonym winklem, wyjątkowa kreatura wyznaczony na funkcję Lagerältestera |
| 6. Rawecki Leon
ur. 26.03.1914 | Polak z czerwonym winklem, numer 8400 |
| 7. Róžański Stefan | Polak z czerwonym winklem, nr 8521 |
| 8. Ruszczyński Tadeusz
ur. 28.10.1916 | Polak z czerwonym winklem, nr 8340 |
| 9. Szczur Aleksander
obecne nazwisko Szmara | Polak z czerwonym winklem |
| 10. Kessel | Niemiec z zielonym winklem |

Początkowo skierowano naszą pionierską grupę do pracy na terenie fabryki przy pracach ziemnych. Była to praca bardzo ciężka i wycieńczająca. Prawie cały czas trzeba było szybko pracować. Poza tym musieliśmy wykańczać sam obóz, który był w rozbudowie.

Po jakimś czasie zatrudniono nas w samej fabryce przy napełnianiu gazem bomb lotniczych. Było nas zbyt mało do tej pracy. Dlatego w połowie czerwca 1943 roku przywieziono drugą grupę więźniów. Tym razem przyjechała grupa niemieckich kryminalistów, kilku Polaków i Rosjan. Ogółem było nas około 60 więźniów.

Jak dobrze pamiętam w tej grupie przyjechali więźniowie:

- | | |
|-----------------------|--|
| 1. Krauze | Niemiec kryminalista z zielonym winklem, wyznaczony na funkcję Kapo w fabryce |
| 2. Bryłka | Polak z czerwonym winklem |
| 3. Mikołaj Korolko | Polak z czerwonym winklem |
| 4. Józef Podkówka | Polak z czerwonym winklem |
| 5. Bogdan Schaefer | Polak z czerwonym winklem /zginął w kraju po wojnie/ |
| 6. Władysław Szumiło | Polak z czerwonym winklem starszy mężczyzna pracujący w stolarni |
| 7. Jan Szumiło | Polak z czerwonym winklem syn w/w zatrudniony jako stolarz |
| 8. Mieczysław Turczyn | Polak z zielonym winklem, zawodowy złodziej kieszonkowy, który nieraz pokazywał jak potrafi okradać więźniów |

Pracowaliśmy wówczas przy napełnianiu bomb gazem. Każda bomba była nakładana wraz ze skrzynią na specjalny wózek, którym podjeżdżaliśmy do urządzenia napełniającego gazem. Pracowaliśmy bez masek. Jedynie więźniowie zatrudnieni bezpośrednio przy napełnianiu gazem bomb mieli maski. Po napełnieniu gazu, każdą bombę przenoszono na specjalną wagę dla sprawdzenia, czy zawiera właściwą ilość gazu.

Następnie majster niemiecki /bardzo porządny człowiek/ nakręcał na każdą bombę odpowiednią nakrętkę, poczem specjalnym przyrządem nakładanym na nakrętkę sprawdzał czy gaz nie ulatniał się z bomby.

Jesienią 1943 roku musieliśmy za naszymi barakami zrobić głębokie wykopy pod fundamenty budynku murowanego. Wzniesiono tam budynek murowany jednopiętrowy, wykonany pod koniec lutego 1944 roku.

Z początkiem marca 1944 r. przyszedł do nas duży transport nowych więźniów do pracy, złożony przeważnie z Polaków z jednego transportu.

Przyjechali wtedy między innymi:

- | | |
|--------------------------|--|
| 1. Tadeusz Koral | Polak z czerwonym winklem |
| 2. Ryszard Kurowski | Polak z czerwonym winklem, który został blokowym |
| 3. Stanisław Konarzewski | Polak z czerwonym winklem |
| 4. Adolf Konarzewski | Polak z czerwonym winklem |
| 5. Roman Konarzewski | Polak z czerwonym winklem |
| 6. Stanisław Surma | Polak z czerwonym winklem, który później został zabrany na rozstrzelanie |

7. Marek Wawrzyniak

Polak z czerwonym winklem, który
został flegierem leczącym chorych

Nowych więźniów zatrudniono przeważnie przy napełnianiu gazem pocisków artyleryjskich.

Doszedłem do porozumienia z niemieckim majstrem, który nadzorował napełnianie bomb. Kilka razy za jego pośrednictwem udało mi się wysłać do rodziny listy nie przechodzące przez kontrolę obozową.

W fabryce otrzymaliśmy maski typu wojskowego, które musieliśmy stale nosić przy stole, lecz nie wolno było ich używać.

Lagerführer Karl Galasch /podły zwyrodnialec/ skontrolował nas kiedyś po przyjściu z pracy. Kiedy stwierdził, że niektórzy mieli brudne, czy zardzewiałe maski, lub tak jak ja, nie miało jej w ogóle, wówczas wszystkim winowajcom urządził tzw. sport. Kazał nam biegać dookoła baraków. Musieliśmy skakać żabką, padać, powstawać, potem rolować przez głowę. Galasch kopał nas przy tym swoimi podkutymi butami aż do utraty sił.

Po tych ćwiczeniach przez dłuższy okres czasu nie mogłem przyjść do siebie, bo wszystko mnie bolało. Galasch bardzo często przychodził do obozu pijany i urządził nam karne ćwiczenia, często za nic, aby pastwić się nad nami, bo to sprawiało mu przyjemność. Jesienią 1944 r. odesłano Galascha z naszego komanda i wówczas odetchnęliśmy trochę, bo jego następcą był bardziej ludzki.

Pod koniec stycznia 1945 roku zarządzono ewakuację naszego komanda. Wychodziliśmy z obozu pieszo do Gross-Rosen. W fabryce zostało kierownictwo niemieckie.

Marsz był bardzo forsowny i męczący, gdyż leżał śnieg. Po drodze nocowaliśmy w jakiejś stodole.

Zaraz po nas nadszedł do Gross-Rosen jakiś transport z innego komanda. Na placu pomieszaliśmy się wzajemnie. Ktoś z kierownictwa obozowego miał o to pretensję, że nie oddzielono nas natychmiast po przybyciu. Widocznie zamierzano nas odseperować i skierować do natychmiastowego wykończenia. Potem porozchodziliśmy się po barakach i nie mogli nas zebrać razem, zwłaszcza, że codziennie przychodziły transporty z ewakuowanych komand i administracja obozu miała dużo roboty z przybyłymi. Prawdopodobnie to nas uratowało od wyznaczonej śmierci, jaka miała nas spotkać niechybnie.

W początkach lutego 1945 roku wyprowadzono nas wraz z innymi więźniami na dalszy transport. Załadowano nas do odkrytych wagonów. Jechaliśmy kilka dni. Celem naszym był Buchenwald, ale tam nas nie przyjęto, nie wiem z jakiego powodu. Po dalszych kilku dniach podróży bez jedzenia i picia dotarliśmy do Mauthausen. Z licznego transportu została nas 1/3, bo większość wyginęła w transporcie.

W Mauthausen otrzymałem numer 129027. I tam próbowano nas wykończyć. Po kąpieli trzymano nas bez odzieży na mrozie i zimnie przez kilka godzin. Na skutek tego duża ilość więźniów zmarła.

Wolność odzyskaliśmy w dniu 5 maja 1945 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.3.13.

DYHERNFURTH I

Było to już pod koniec sierpnia lub na początku września 1944 roku. Około południa od głównej bramy obozu Gross-Rosen wkroczyła grupa dygnitarzy cywilnych i SS-manów.

Stanęliśmy wszyscy na baczność w dwuszeregu i z czapkami w rękach. Wzdłuż szeregu przechodził sam komendant obozu, a obok niego trzech cywilów w charakterystycznym stroju "tyrolskim". Krótkie skórzane spodenki, białe podkolanówki z pomponikami, półbuty itd. no i ... byłbym zapomniał... duże brzuchy i chyba w tym momencie pełne, czego o nas muzułmanach nie można było powiedzieć. Kazano nam się rozebrać do naga i panowie zaczęli oglądać każdego oddzielnie, polecając wykonać kilka zwrotów, aby wreszcie kazać przebiec kilkanaście kroków. Z podobnymi oględzinami można się spotkać jeszcze dzisiaj na targowsikach przy kupnie bydła. Oględziny miały na celu sprawdzenie czy kandydat na stracenie nie jest chory, czy nie ma jakichś schorzeń ograniczających jego sprawność fizyczną.

Wybrano 65 więźniów, wygolono nas, wykąpano, otrzymaliśmy nowe pasiaki i czystą bieliznę. Tak oczekiwaliśmy na nasz transport. A w międzyczasie dowiedzieliśmy się, że jedziemy do karnego komanda, skąd jeszcze nikt nie powrócił do głównego obozu. Wiadomo było, że jest to tajemnicze komando, że jest tam tajemnicza produkcja dla wojska.

W dniu 6 września 1944 roku około godz. 15³⁰ zakładowano nas na trzy samochody i w pozycji siedzącej powieszono w nieznanym kierunku. Po blisko dwugodzinnej podróży samochody zatrzymały się przy głównej bramie. SS-mani kontrolowali stan liczebny. Wokół był las. Również wzdłuż wewnątrzzakładowych dróg rosły wieloletnie drzewa. Nad budynkami, czy też nawet nad wykopami były rozciągnięte potężne siatki maskujące.

Nasze samochody zostały zatrzymane po raz drugi przed kolejną bramą przez wartownika SS. Nad tą bramą zawieszona była duża biała tablica z napisem niebieskimi literami "IG FARBEN HAUPTVERWALTUNG DYHERNFURTH b/BRESLAU".

Kazano nam zejść z samochodów i ustawić się. Po sprawdzeniu stanu liczebnego, SS-mani otworzyli kolejną bramę. Po przejściu około 200-250 metrów zatrzymaliśmy się przed trzecią bramą. Kolejny ceremoniał liczenia więźniów i odsunięcie drewnianej zapory oplecionej drutem kolczastym.

I tak dostaliśmy się do tajemniczego podobozu o nazwie "Dyhernfurth I", gdzie miałem pracować przy broni masowej zagłady - gazie "Tabun".

W krótkim czasie po naszym przyjeździe nadeszli więźniowie z fabryki. Zrobili na mnie przygnębiające wrażenie. Przede wszystkim czuć było od nich "coś", powodującego torsję. Wyglądali opuchnięci, a wielu z nich miało oczy zaropiałe. Wszyscy byli przygnębeni.

Z ciekawości policzyłem "starych" więźniów: było ich na placu apelowym w dniu 6 września 1944 roku około godz. 18⁰⁰ - 120 więźniów, a razem z naszym zugangiem podobóz Dyhernfurth I liczył 185 "tabunowszczyków" /jak ich i siebie nazywam obecnie/.

Zaraz po apelu podszedł do mnie jeden z więźniów i po przywitaniu się ze mną zapytał: "skąd przyjechaliście i ilu was jest"?

Jak się później okazało, moim rozmówcą był więzień /obecny płk mgr/ Tadeusz Koral, wybitny działacz PPS.

Więźniowie podobozu Dyhernfurth I zostali nazwani "komandem straceńców". Wszyscy mieli zostać uśmierceni po zakończeniu działań wojennych, aby zachować tajemnicę wojskową.

Powstanie komanda Dyhernfurth I i II

Po wojnie zacząłem dociekliwie zbierać wszelkie materiały dotyczące powstania samej fabryki w Dyhernfurth jak i powstania komanda Dyhernfurth I i II.

Na przełomie 1928/1939 roku w III Rzeszy podjęto decyzję budowy specjalnego wyodrębnionego zakładu dla produkcji gazu "Tabun". Dotychczas produkowano gazy bojowe w specjalnie wydzielonych oddziałach dużych zakładów przemysłowych podległych I.G. Farben i Anger-Gesellschaft, głównych dostawców broni chemicznej dla wojska.

Teraz już nic nie stało na przeszkodzie, aby przystąpić do realizacji trzeciego i największego etapu, czyli wydzielonego zakładu, który będzie produkować wyłącznie gaz tabun i sarin dla wojska.

Na rejon tej budowy wyznaczono miejscowość Dyhernfurth. Była to mała miejscowość, przez którą przebiegała główna linia kolejowa, co ułatwiało transport materiałów i sprzętu dla fabryki. Poza tym bliskość Odry, bo i woda też była potrzebna do produkcji, zdecydowały o wyborze miejsca.

Wiosną 1940 roku na placu budowy o powierzchni 110 hektarów przystąpiło do robót budowlano-montażowych około 15 firm niemieckich zatrudniając w pierwszym okresie ponad 1000 robotników cywilnych.

W oparciu o źródła informacji, jakie udało się mi uzyskać oraz własne spostrzeżenia, jako więźnia, w okresie od 6.09.1944 r. do 21.01.1945 roku budowę fabryki tabunu w okresie od 1.01.1940 r. do końca października, czy nawet listopada 1944 roku można podzielić na dwa etapy, a to:

E t a p I - maksymalnego tempa prac budowlano-montażowych i rozruchu technologicznego, dającego broń techniczno-chemiczną "Tabun" i "Sarin", które to środki bojowe stanowiły szczytowe osiągnięcia ówczesnego niemieckiego przemysłu chemicznego.

Ten etap zamknąłby się w okresie od 1 stycznia 1940 roku do połowy 1941 roku lub 1942 r., czyli od pojawienia się na placu budowy pierwszego robotnika budowlanego, do chwili rozruchu technologicznego. Rozruch ten musiał być bardzo skomplikowanym i trudnym zadaniem.

Generalnym wykonawcą był "Luranil" A.G. Ludwigshafen - wyspecjalizowana firma w budowie fabryk chemicznych, która oddelegowała do rozruchu tajemniczego kompleksu chemicznego aż 90 techników i inżynierów - chemików o najdłuższym stażu zawodowym i fachowym.

Istnieją też informacje jakoby rozruch technologiczny został ukończony latem 1942 roku.

Jak wynika z powojennej dokumentacji inwentaryzacyjnej - Niemcy wybudowali w okresie od stycznia 1940 roku do listopada 1944 roku około 130 budynków, a w tym 22 duże hale produkcyjne. W chwili ewakuacji zakładów w styczniu 1945 roku stwierdzono mniej lub więcej zaawansowane prace budowlano-montażowe na około 35 budynkach przemysłowych. Prawdopodobnie latem 1942 roku - zgodnie z przyjętą hipotezą - I.G. Farben odebrała fabrykę od generalnego wykonawcy, "Lauranil" A.G. i przekazała w użytkowanie firmie "Anorgana A.G.", która zarządzała fabrykami zwykłych użytkowych i nieorganicznych produktów chemicznych. Był to zamierzony kamuflaż dla zamaskowania masowej produkcji niebezpiecznej i broni chemicznej, tak przed własną ludnością, jak i przed wrocieńskim wywiadem alianckim.

E t a p II - od rozruchu, w roku 1942 do chwili ewakuacji w styczniu 1945 roku. Ten okres, to zabudowa, a raczej realizacja ogólnego planu, który rozłożono na dwa okresy. Chodziło bowiem o jak najszybsze uzyskanie produkcji, na którą oczekiwało dowództwo "Wehrmachtu".

Wspominając o zabójczym "Tabunie" nie sposób zapomnieć o goźniejszym kilkakrotnie "Sarinie" i jego losach.

Przytoczę tutaj fragment z "Tajnych arsenałów" K. Orskiego - strona 80: ... "W 1943 r. przystąpiono do budowy nowoczesnej fabryki sarinu w Falkenhagen koło Berlina. W celu zachowania całkowitej tajemnicy zakład zakodowano nie mówiącą nazwą "Seeverk" /fabryka morska/.

Korzystając z doświadczeń zdobytych podczas budowy w Dyhernfurth urządzenia produkcyjne ukryto głęboko w podziemiach. Fabryka ta miała produkować 50 ton sarinu miesięcznie /dokładne dane nie zostały nigdy ustalone/. Jednak wskutek powtarzających się alianckich nalotów dywanowych budowy tej nie zdołano doprowadzić do końca".

Wielkość produkcji gazu "Tabun" w Dyhernfurth I

Gazem tym nalewano pociski artyleryjskie do dział kalibru 75 mm i o wadze 12,5 kg - netto

- pociski artyleryjskie do dział 106 mm i wadze netto 34,5 kg

- bomby lotnicze, których pojemność wynosiła ca 100 kg.

Pracując w fabryce przy komorach kontrolnych, podciśnieniowych, przez które wszystkie pociski musiały przechodzić, łatwo było mi wyliczyć dzienną wydajność fabryki. W czasie wydłużonej dniówki - średnio załadowywano dwa wagony pocisków artyleryjskich, każdy o nośności 17,5 ton, czyli 35 ton podczas jednej zmiany. Zakładając średnio 25 dni roboczych w miesiącu /35 ton x 25 dni = 875 ton wyekspediowanego tabunu z Dyhernfurthu przez "Anorganę", co daje w skali rocznej 875 ton x 12 m-cy = 10.500 ton/.

Napełniano także tymże gazem szklane pojemniki nazywane przez kol. Romana Konarzewskiego "bombkami". Produkcja ta była uruchomiona pod koniec 1944 roku, trwała krótko i została z jakichś powodów zaniechana.

Z Dyhernfurth I wywożono też tabun cysternami wagonowymi. Ilość wywożonego tabunu nie była nam w ogóle znana. Stąd też nie wiemy jaką ilość gazu wyprodukowano w fabryce.

W "Tajnych arsenałach" K. Orski - str. 69 i 79 podaje: ... "Po żmudnych dochodzeniach specjalistycznych akcji alianckich stwierdzono, że tuż przed kapitulacją Niemiec, pod koniec kwietnia 1945 roku i pierwszych dniach maja 1945 r. do portu we Flensburgu, gdzie miał siedzibę i główną kwaterę marynarki wojennej Karl Albert Gadow, a załogę stanowili członkowie Volssturmu, dentyści i lekarze z kursu dla wojskowych chorążych - ponieważ w ogólnym nieładzie nie można było liczyć na dokerów - ta właśnie załoga własnoręcznie umieściła w ładowniach okrętów drewniane paki zawierające pojemniki oznakowane wg dawnego niemieckiego kodu żółtym krzyżem i opatrzone napisem "Lost". Były to ładunki bomb i granatów iperytowych. Oprócz iperytu na okręty załadowano także pojemniki z tabunem. Eskadra wypłynęła w morze i ładunek zatopiła w akwenach Małego Bałtyku. W ten sposób rozładowywano, wywożono i topiono zawartość wielu pocisków, które od tygodni nadchodziły z zewnątrz kraju. Okręty wychodziły w morze kilkakrotnie. Ogółem wg szacunkowych, nie sprawdzonych obliczeń, Niemcy zatopili co najmniej 200.000 ton amunicji chemicznej.

Już po wojnie w zupełnej tajemnicy prowadzono poszukiwania tego ładunku i stopniowo odnajdywano go w przeróżnych rejonach morza. Pojemniki z trującą substancją odkryto w bałtyckim akwenie na południowy wschód od latarni morskiej Kekenis w rejonie Bornholmu i Christianson oraz koło 40 mil morskich na południowy wschód od Gottlandii".

Do hali fabrycznej, w której 185 więźniów - straceńców napełniało śmiertelnośnym tabunem pociski artyleryjskie i bomby była doprowadzona bocznicą kolejowa.

Zgodnie ze schematem organizacyjnym i wymogami ciągłości technologicznej, puste pociski artyleryjskie oraz bomby nadsyłane były w krytych wagonach kolejowych, podstawianych na bocznicę kolejową od południowej strony.

Rozładunek wagonów - pomimo tych zabezpieczeń dokonywaliśmy po uprzednim ustawieniu zapór na rampie.

Pomimo obowiązujących rygorów i ograniczeń w gospodarowaniu wagonami w hitlerowskich Niemczech, dla "Anorgany" zawsze była odpowiednia zapewniona ilość wagonów towarowych. Wagony te podstawiała stacja kolejowa w Dyhernfurth, do punktu zdawczo-odbiorczego zlokalizowanego tuż przy zewnętrznym ogrodzeniu fabryki. Rozprowadzaniem wagonów kolejowych do różnych oddziałów fabryki - również do tajemniczej hali - zajmowała się zaprzysiężona kolejowa brygada "Anorgany" przy użyciu fabrycznej lokomotywy przetokowej.

Przy wjeździe na bocznicę kolejową wzdłuż hali dokonywana była kontrola lokomotywy i wagonów przez pilnującego SS-mana, który po kontroli otwierał kolejną bramę umożliwiając wtoczenie wagonów do ramp przy fabryce.

Podobnie miała się rzecz przy wytaczaniu załadowanych wagonów z tego terenu. Przy każdorazowym załadunku wagonów bronią chemiczną przedstawiciel Wehrmachtu dokonywał odbioru ładunku, a następnie zakładał plomby i kłódki na wagonach.

Oprócz tego na tabliczce wagonowej zawieszano wypełniony druk, na którym była wyszczególniona zawartość i adres.

Rozumie się, że zawartość wagonów była określana nieprawdziwie. Również adres odbiorcy był fałszywy. Polegało to na kilkakrotnym zmienianiu odbiorcy na stacjach pośrednich, znajdujących się na trasie wiodącej do miejsca przeznaczenia. Dla przykładu podam mechanizm tej metody, utrudniającej rozszyfrowanie nadawcy i odbiorcy przesyłki.

W Dyhernfurcie załadowano wagony bomb lotniczych napełnionych tabunem. Na karcie przewozowej zapisano:

a/ Odbiorca: Miejska Pralnia - Breslau

b/ Przesyłka: środki chemiczne - piorące

c/ Nadawca: "Anorgana" A.G. Dyhernfurth

We Wrocławiu zamieniano treść karty przewozowej, adres odbiorcy, rodzaj przesyłki i adres nadawcy.

Dokąd docierała przesyłka kolejowa???

Z niepotwierdzonych informacji dowiedzieliśmy się, że w Bawarii zostały wybudowane duże magazyny podziemne na terenie zamkniętym i pilnie strzeżonym przez wojsko, gdzie magazynowano broń chemiczną - pociski artyleryjskie i bomby napełnione tabunem.

Przy rozładunku wagonów z tymi pociskami i bombami zatrudniano żołnierzy, którzy dopuścili się przewinień i zostali skierowani do pracy w karnej kompanii o zaostrzonym rygorze dyscyplinarnym.

Podobno żołnierze panicznie bali się tej pracy, która była dla nich największą i najniebezpieczniejszą karą.

A co mieli powiedzieć "tabunowszczyzy" - więźniowie, którzy pozbawieni byli jakiegokolwiek odzieży ochronnej - z wyjątkiem kilku stanowisk wyposażonych w najprymotywniejsze maski - posługujący

się gołymi rękami, ubrani w nędzne pasiaki, w drewniakach bez skarpet, codziennie przerzucający po kilkanaście ton niebezpiecznej broń chemicznej?

Produkcję fabryki można podzielić na dwa główne działy:

- dział przygotowania i wyprodukowania gotowego "Tabunu" i zmagazynowanie go w podziemnych zbiornikach. Produkcję wykonywali cywilni fachowcy i służby pomocnicze. Pracownicy ci z pewnością wiedzieli, w jakiej fabryce pracują i kto sprawuje nadzór nad całokształtem produkcji. Z pewnością byli zaprzysiężeni i zobowiązani do zachowania tajemnicy wojskowej. Musieli też wiedzieć o grożących karach w przypadku zdrady tajemnic fabryki. Pracownicy tego działu z pewnością niewiele wiedzieli o podobozie wewnątrzzakładowym i przypuszczalnie nie znali jego zakresu działania, o czym świadczyć mógłby fakt zachowania tajemnicy nawet po zakończeniu działań wojennych w 1945 roku.
- dział produkcji zajmujący się napełnianiem pocisków artyleryjskich i bomb lotniczych tabunem oraz ich wysyłką.

Panowała tam ścisła tajemnica wojskowa.

Na budowie "Anorgany" i w uruchomionej fabryce byli zatrudnieni więźniowie z niezbyt odległego obozu koncentracyjnego Gross-Rosen. Centrala grossrosenowska wysyłała więźniów do różnych fabryk, tworząc na ich terenie, lub w bezpośrednim sąsiedztwie "podobozów".

Są trzy wersje określające stan liczebny więźniów tego komanda:

1/ nie przekraczał	300 więźniów
2/ stan ogólny około	225 "
3/ stan ogólny	185 "

Stan więźniów obliczony przeze mnie w dniu 6 września 1944 roku, po naszym przyjeździe, jest najaktualniejszy; zastaliśmy na miejscu 120 więźniów, a nas ostatnich przyjechało w transporcie 65, czyli razem 185 więźniów.

Przyjazd do Dyhernfurth I naszego transportu spowodował duże zagęszczenie w pomieszczeniach noclegowych, gdyż nie dodano nigdzie pryczy do spania. Prawie na każdej pryczy spało po 2 osoby.

W dniu 21 stycznia 1945 roku około godziny 14⁰⁰ ewakuowano nasze komando Dyhernfurth I do Gross-Rosen.

Do głównego obozu przybyliśmy 22 stycznia 1945 r. około godziny 19⁰⁰ - 20-tej.

Wielu więźniów padło podczas tej pieszej ewakuacji zwłaszcza z powodu bardzo niskiej temperatury i zadymki śnieżnej. Przez czas wędrówki nie otrzymaliśmy posiłków a wypoczynek ograniczył się do krótkiego noclegu w stajni na mierzwie.

W Gross-Rosen miała nastąpić likwidacja więźniów podobozu Dyhernfurth I. W krótkim czasie po naszym przybyciu odezwały się syreny ogłaszające alarm lotniczy. Więźniowie rozbiegli się, gdzie kto mógł.

Za nami nadchodziły do Gross-Rosen dalsze transporty ewakuacyjne z innych komand. Przyjmowanie tych wynędzniałych więźniów, ledwo włączających nogami oraz duża liczba przybywających wywołało bałagan, który w efekcie uratował nam życie.

W początkach lutego 1945 roku ewakuowano nas z Gross-Rosen. Buchenwald nie przyjął naszego transportu, więc skierowano nas do Mauthausen, gdzie nadano nam inne numery obozowe.

W Mathausen znalazło się wielu "tabunowszczyków". Dzięki nowym numerom zagubiono nas w masie i w ten sposób uniknęliśmy śmierci.

Kilkakrotnie wzywano przez megafon "tabunowszczyków" by się stawili na "specjalne" leczenie w sanatorium.

Nie wiem, czy ktoś w to uwierzył i zgłosił się? Ja w każdym razie nie skorzystałem z tego sanatorium i dzięki temu żyję do dnia dzisiejszego.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.3.14.

ANORGANA Gesellschaft mit beschränkter Haftung, Werk Dyhernfurth

An

Konto Nr.

Bestell-Nr.	Bau- und App.-Nr.	Progr.-Nr.	Rep.-Nr.
			Nur bei Einzelabrechnung anzugeben

Bestellung für Konto (Original)

Art der Arbeit

Der Betriebsleiter
des zu beauftragenden Betriebes

Tag

Besteller

Ruf-Nr.

Arbeit angefangen

beendet

Druk firmy ANORGANA ze zbioru Rudolfa Starego.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.1.5.

REFLEKSJE OBOZOWE

Przed napaścią Niemiec hitlerowskich na Polskę należałem do Polskiej Partii Socjalistycznej /PPS/. W czasie okupacji hitlerowskiej włączyłem się czynnie do pracy konspiracyjnej.

Należałem do Związku Walki Zbrojnej, a po reorganizacji do Armii Krajowej /ZWZ-AK/. Zostałem przydzielony do kierownictwa dywersji tak zwanego Kedywu, gdzie przeszedłem specjalne przeszkolenie w działalności dywersyjnej.

Brałem udział w szeregu akcji na terenie Warszawy, gdzie zamieszkiwałem do chwili aresztowania.

Po aresztowaniu przebywałem na Pawiaku. Byłem przesłuchiwany wielokrotnie przez gestapowskich oprawców z Alei Szucha. Oczekiwałem następnie na zatwierdzenie wyroku na mnie przez Berlin, ale w międzyczasie zostałem wysłany na Majdanek i tam otrzymałem numer 9824.

Z Majdanka zostałem skierowany transportem z dużą grupą więźniów do Flossenbürga, gdzie nas trzymano w baraku, a po krótkim okresie czasu przetransportowano do Gross-Rosen. Tutaj otrzymałem numer 10001. Po okresie cugangowskim /okresie przejściowym/ udało mi się dostać na blok nr 5, gdzie byli zgrupowani przeważnie Polacy.

W początku marca 1944 roku zostałem wezwany pod Schreibstube. Myślałem, że są to ostatnie chwile mego życia, że nadszedł zatwierdzony na mnie wyrok z Berlina, a wiedziałem, że wyrokiem tym może być jedynie kara śmierci. Tymczasem okazało się, że jestem wyznaczony na transport do podobozu Dyhernfurth I. Coś mówiono u nas w obozie o tym komandzie, ale nikt nie wiedział nic pewnego o nim, bo wszystko było trzymane w tajemnicy. Wiadomym było, że jest to trochę lepsze komando, ale nikt z niego nie powraca żywy, chyba, że na rozstrzelanie z wyroku Gestapo, czy Politische Abteilung. Z innych komand przywożono słabych więźniów na ewentualne leczenie w Revierze, ale stamtąd nikogo nie przywożono.

Kiedy przyjechalismy do Dyhernfurth I, a było to na drugi dzień po wyznaczeniu mnie do tego transportu, zastaliśmy tutaj już około 80 więźniów.

Byli wśród nich bandyci, złodzieje polscy i niemieccy, pederasci, Cyganie, jeden kryminalista Czech. Oprócz nich było kilkunastu Polaków więźniów politycznych i grupa Rosjan - byłych jeńców wojennych.

Jak więc zorientowałem, stan więźniarski wg moich obliczeń przedstawiał się następująco:

I - transport w kwietniu 1943 roku z Bernardem Mikołajczakiem na czele, mógł liczyć około 50 więźniów. Byli to przeważnie więźniowie z transportu oświęcimskiego, który przybył do Gross-Rosen w kwietniu 1942 roku.

II - transport w lecie /czerwiec - lipiec/ 1943 roku mógł liczyć około 30-40 więźniów. W skład jego wchodził między innymi więźniowie z transportu z Majdanka, który przeszedł przez Flossenbürg, w którym i ja przybyłem do Gross-Rosen w maju 1943 roku.

III - transport w marcu 1944 roku, w skład którego i ja wchodziłem, mógł liczyć około 90-110 więźniów. Składał się on w większości

z więźniów z transportu zwanego r a d o m s k i m, którzy przybyli do Gross-Rosen w styczniu 1944 roku i mieli, numerację 16 tysięcy.

Starymi więźniami tego transportu byli: Ryszard Kurowski, Marek Wawrzyniak i ja. Ryszard Kurowski był przedtem blokowym na bloku nr 7, ale za posiadanie złota i monet złotych, które zdobywał na mordowanych więźniach dostał się do karnej kompanii do kapo Vogla. Stamtąd poszedł do naszego transportu.

IV - w kwietniu 1944 roku przysłano wówczas jednego więźnia. Był to Niemiec lub Volksdeutsch nazwiskiem Grajek, który potem został piplem kapo Krausego z fabryki.

V - transportem w czerwcu 1944 roku przyjechało pięciu Niemców, a wśród nich jeden biegle władający językiem rosyjskim /został on dotkliwie pobity przez Rosjan, którzy złamali mu nogę/.

VI - transport przybył 6 września 1944 roku. Skład jego stanowiło kilkudziesięciu więźniów z powstania warszawskiego. Między nimi przyjechał stary więzień: Andrzej Waksmundzki, Nosowski i Wrzos /prawdziwe nazwisko tego ostatniego było Rose/. Znałem ich jeszcze z Pawiaka. Przyjechał również Janusz Olczyk, stary kryminalista znany mi również z Pawiaka i Majdanka.

Był to ostatni transport więźniów, jaki przyszedł na nasze komando. Co do osób, które zmarły lub zostały wezwane do Gross-Rosen na rozstrzelanie pamiętam co następuje:

I grupa: pod koniec marca 1944 roku zostało wyczytanych trzech więźniów a wśród nich prof. Surma z Radomia. Wszyscy oni mieli numery powyżej 16 tysięcy. Wyroki śmierci nadeszły na nich z Gestapo radomskiego. Zostali rozstrzelani w Gross-Rosen. Większość więźniów z tego transportu miało zakaz korespondencji, a więc musieli mieć w swoich aktach obozowych adnotację: "powrót niepożądany".

II grupa składająca się z pięciu więźniów także z transportu radomskiego, została odesłana do Gross-Rosen na rozstrzelanie latem 1944 roku.

III grupę stanowiło 5 Rosjan, którzy na terenie fabryki wypili zdobyty spirytus metylowy. Trzech oślepiło, a dwóch zmarło.

IV grupę stanowili 3 Rosjanie próbujący ucieczki w lecie 1944 roku. Jeśli dobrze pamiętam, jeden z nich był docentem matematyki, drugi marynarzem flotylii czarnomorskiej. Była to ucieczka spontaniczna, zupełnie nie przemyślana i w konsekwencji nie udana.

V - jesienią 1944 roku zmarł na zapalenie płuc więzień Wrzos.

Po przyjeździe do fabryki wszystkich nas zebrano na przegląd. Dyrektor fabryki wybierał więźniów do odpowiednich prac. Podszedł do mnie, obejrzał moje ręce, a następnie wyznaczył mnie na kontrolera pocisków. Miałem sprawdzać wszystkie pociski kierowane do napełniania gazem, czy mają właściwy otwór, aby po napełnieniu można było nakręcić specjalną nakrętkę.

Otrzymałem specjalny przyrząd, którym miałem obowiązek sprawdzać gwinty w pociskach. Ponieważ jeszcze w Ruchu Oporu przeszedłem przeszkolenie dywersyjne, więc od razu nasunęła mi się myśl, aby dokonywać tutaj sabotażu.

Przyrząd, którym sprawdzałem otwory zabierałem ze sobą do miejsca zamieszkania. Kiedy wszyscy więźniowie spali, a ja spałem na parterze, przez kilka nocy szorowałem tym przyrządem po betonowej podłodze ścierając go. W ten sposób kontrolując mogłem nie zauważyć, że otwór jest za płytki i założona nakrętka będzie wystawać poza pocisk. W konsekwencji takiego pocisku nie dało się załadować potem do lufy działa.

Naturalnie o swojej pracy sabotażowej nikomu w ogóle nie mówiłem. Powoli zbliżały się ostatnie miesiące naszej pracy i pobytu

w Dyhernfurcie I. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia i Nowego Roku 1944/1945. Korzystając z tego, że w ostatnim transporcie przybył do nas aktor Modzelewski postanowiłem to wykorzystać. Toteż obchodziliśmy te święta bardzo uroczystie. Wspólnie z kol. Modzelewskim opracowaliśmy program. Nasz obozowy krawiec uszył dla Modzelewskiego z papieru frak, w którym wyglądał bardzo uroczystie. Ja dokonałem przywitania Nowego Roku 1945. Podarto symboliczną kartkę z datą 31.12.1944, i pod spodem której ukazał się napis "Wolność" w językach: polskim, rosyjskim, niemieckim i czeskim.

Biedny nasz kolega Modzelewski nie doczekał "Dnia Wolności", gdyż zginął wcześniej w obozie.

Sprawa zachowania tajemnicy

Na naszym komandzie założono prowizoryczny Revier, który prowadził sanitariusz, obecny profesor Marek Wawrzyniak. Nie było prawie żadnych leków dla chorych. Były więc wielkie trudności w leczeniu więźniów. Zdarzył się przypadek, że do chorego więźnia trzeba było wezwać na konsultację lekarza. Marek Wawrzyniak zameldował o tym naszemu komendantowi Galaschowi. Sprowadzono z Dyhernfurthu II lekarza dra Haugasa, po przybyciu którego Wawrzyniak mógł z nim rozmawiać tylko na temat choroby tego więźnia i tylko po niemiecku przy Galaschu. W ten sposób żadna tajemnica nie wyszła poza obóz Dyhernfurth I.

Podobny przypadek zaistniał kiedy pojechałem wspólnie z naszym blokowym Ryszardem Kurowskim do Dyhernfurth II po obiad dla załogi SS /codziennie dowożono dla nich stamtąd jedzenie/. Chcieliśmy zobaczyć jak wygląda tamten obóz, a mieścił się on poza terenem fabryki w oddaleniu chyba około 1 kilometra, no i porozmawiać z tamtejszymi więźniami. Jednakże w drodze SS-man konwojujący nas od razu zaznaczył, że nie mamy prawa rozmawiać z nikim na tamtym terenie. Jeżeli to zauważy to od razu zostaniemy zastrzeleni.

Pragnę tutaj zaznaczyć, że na skutek mojej sabotażowej działalności przy sprawdzaniu pocisków, wiele napełnionych gazem pocisków musiano odrzucić jako braki nie nadające się do użycia.

Gaz "Tabun", którym były napełniane pociski artyleryjskie i bomby lotnicze miał bardzo szkodliwe działanie na człowieka a zwłaszcza na: system nerwowy, płuca, powodował także nerwice, przyczyniał się do miażdżycy naczyń krwionośnych i wytwarzania choroby nadciśnieniowej, nie mówiąc już o szkodliwości jego na oczy, gdyż powodował uszkodzenie wzroku.

Któregoś dnia na polecenie naszego Kapo Krausego /może to było na zlecenie kierownictwa fabryki/ zostałem umieszczony bez maski w vacuum - czyli cylindrycznym pomieszczeniu próżniowym, gdzie sprawdzano szczelność wszystkich pocisków po ich napełnieniu gazem.

Kiedy byłem tam zamknięty zwięzły mi się źrenice, czułem straszną duszność i szalony ból głowy. Następnie po wyjściu założono mi pod powieki jakieś tabletki prawdopodobnie atropinę, która bardzo rozszerzyła mi źrenice do tego stopnia, że wpadające na nich światło sprawiało silny ból oczu.

Przy wychodzeniu z fabryki wszyscy więźniowie musieli spryskiwać swoje ubrania amoniakiem, który podrażniał błony śluzowe, powodując ciągły katar /przynajmniej u mnie/. Jak dowiedziałem się po latach od kol. prof. Andrzeja Waksmundzkiego, "Tabun" był prawdopodobnie gazem kwasowym, gdyż amoniak był tu czynnikiem neutralizującym.

Latem 1944 roku, jeden z więźniów, niemiecki kryminalista z

Hamburga Hahn mając już dość bandyckiego postępowania naszego Galascha i Lagerältestera Bernarda Mikołajczaka złożył na nich skargę.

Przyjechał wówczas z Dyhernfurth II Obersturmführer Karl Brauner. Galasch został usunięty z naszego komanda. Zdjęto także z funkcji Lagerältestera Mikołajczaka. Na jego miejsce wyznaczono innego kryminalistę niemieckiego. Został także zdjęty z funkcji blokowy Ryszard Kurowski i zastąpiony przez niemieckiego kryminalistę Hahna. Hahn był ogromnym bydlakiem. Kurowski też miał wiele spraw na sumieniu, ale był inteligentniejszy i łagodniej załatwiał swoje sprawy.

Do Hahna zgłosił się zaraz do pomocy jako tłumacz Janusz Olczyk kryminalista i bandzior znany mi jeszcze z Majdanka, który tam też na funkcji, mordował więźniów.

Nowy blokowy czuł do mnie jakąś niechęć, a można nawet rzec mnie nienawidził nie wiem dlaczego. Stale miał do mnie jakieś pretensje. Któregoś dnia doszło między nami do wielkiego bicia. Kiedy zaczął mnie okładać, ja nie pozostałem mu dłużny. O co wówczas poszło naprawdę nie pamiętam.

Nowo wyznaczeni funkcyjni długo nie rządzili u nas. Hahn został wkrótce pobity przez naszego nowego komendanta SS Hintza /następcę Galascha/. Prawdopodobnie powodem tego były sprawy seksualne, gdyż Hahn jako homoseksualista miał dwóch piplów. Jednym był Niemiec z różowym winklem, a drugim Ukrainiec, których nazwisk nie pamiętam. Ten ostatni dostał nawet od nas Polaków lanie, gdyż wyobrażał sobie, że jako pipel blokowego wszystko może robić na bloku i wszyscy muszą się go słuchać i bać.

W konsekwencji Bernard Mikołajczak został ponownie Lagerältestere, a Ryszard Kurowski naszym blokowym.

W początkach lutego 1945 roku całe nasze komando Dyhernfurth I zostało ewakuowane. Przewieziono nas promem przez Odrę i dalej szliśmy dwie doby do Gross-Rosen. Stały tam już inne ewakuowane komanda, ale nas od razu odseparowano od pozostałych więźniów. Zauważyłem następnie, że podszedł do nas blokowy z karnej kompanii osławiony Vogel, co świadczyłoby o złej naszej sytuacji, gdybyśmy zostali zabrani na jego blok. Sądziliśmy, że zechcą nas "zagazować", a uprzednio przekazać w jego ręce. Na nasze szczęście ogłoszono alarm lotniczy, światła w obozie wygaszono. Wszyscy rozbiegli się po blokach. Ja z dużą grupą kolegów trafiłem do baraku Nr 8 do niemieckiego blokowego, bandyty. Narazie wyrok śmierci na nas uległ zwłoce, bo codziennie przychodziło coraz więcej więźniów z ewakuowanych komand i stale przyjmowano nowych. Jednak coś musiało w tym być, że wszystkie ewakuowane komanda od razu trafiały do nowo powstałego obozu zwanego oświęcimskim, który był oddzielony dodatkowym drutem kolczastym od obozu starego. Były tam podobno baraki bez wygod, prowizorycznie postawione bez wody i podłóg. Natomiast nasz transport Dyhernfurth I umieszczono na terenie starego obozu, tak jakby chcieli nas mieć pod ręką w każdej chwili.

Po okresie około dwutygodniowego pobytu w Gross-Rosen skierowano nas na dalszy transport. Sprawdzone na placu apelowym stan, a następnie z grupą kilku tysięcy innych więźniów pognano do dworca kolejowego, gdzie były przygotowane wagony-węglarki, odkryte. Tam nas załadowano. Chyba znajdowaliśmy się wszyscy w dwóch wagonach. Wydano nam po bochenku chleba i po puszce konserw na dwie osoby. Wszyscy byli strasznie wygłodzeni, dlatego większość nie mogła się powstrzymać i już w drodze do stacji zjadła cały przydzielony prowiant na drogę.

Po kilku dniach nasz transport dojechał do Buchenwaldu. Jednak tam nas nie przyjęto, bo obóz ten akurat został zbombardowany. Wo-

bec tego skierowano nas na południe. Dopiero po pięciu dobach jazdy bez jedzenia i picia dowieziono nas do Mauthausen.

Z Mauthausen zostałem skierowany w dużej grupie więźniów do pracy w Amstetten, gdzie pracowaliśmy przy reperacji torów kolejowych. Podczas jednego z bombardowań zostałem kontuzjowany. Przeżyłem tylko dzięki pomocy kolegów, którzy wyciągnęli mnie, gdyż leżałem przysypany ziemią po wybuchu bomby.

Następnie skierowano zdrowszych więźniów do Ebensee, gdzie w dniu 6 maja 1945 roku odzyskaliśmy wolność.

Po wyzwoleniu spotkałem z naszego komanda Dyhernfurth I kolegów: Mikołaja Korolko, Józefa Moskalewicza, Tadeusza kornackiego, braci Konarzewskich Stanisława i Romana oraz Bryłkę - Vorarbeitera.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.3.5.

KL/16/4-43 8.000.000

Mauthausen
W. Mroczka

Prof. Dr. J. Korolko
in Dr. Korolko
⑨

M. Mroczka
Familie

Meine genaue Anschrift: Schutzhäftling *Mroczka Wojciech*
Nr. 8599 *Włoc*
K. L. G. Rosen
A. L. Dy. I. ⑧

10/10

List z Dyhernfurth I pisany przez Wojciecha Mruka
dnia 10 października 1943 roku

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.46.

Kochana Marys!
 List Twój z M. Konarzew-
 Teru. Paczki, które są -
 słubę już z tobą, także
 Otrzymałem paczkę od
 Twojej siostry Emilii. Pro-
 szę podziękuj jej w imię
 miłości. Jesteś zdrowa,
 czyż się dobrze. Ręczę
 ci mi nie bez zmian.
 Przed chwilą otrzymałem
 również Twoją paczkę i od
 Twojego Młodego paczkę -
 za ciebie bardzo dziękuję

Droga Marys!
 Podziękuję wszystkim
 mójemu, w szczególności
 ci, M. Konarzewski
 w Regnach i powiadaj
 jej że Adek, Romek
 i Stas są już, są, dobrze
 są zdrowi i mają
 dobre apetyty.
 Także Cioćka, mój
 im ciś przysłać na
 mój adres.

Cieluś jestem czy
 Cioćka Marys!
 mieszka jeszcze na
 starym miejscu, czy
 wyszła się w dom
 zdrowi i t. d. Proszę
 Cię Marys napisać
 zaraz do mnie po
 adresy i adresy
 listów. Będę ci bardzo
 za to wdzięczny. Do
 nie było ja.

wiele pozdrowień
 i miłości
 Twój Jurek

Gross-Rosen
 26.3.1944
 Roman Konarzewski

Szansę przeżycia w obozie dawały paczki żywnościowe od rodzin. Niektórzy więźniowie przybywali do Gross-Rosen z zakazem wszelkiej korespondencji. Taką adnotację w aktach otrzymali czterej Konarzewscy (ojciec i trzech synów). Dotarł jednak do rodziny Konarzewskich w Regnach gryps pisany 26 marca 1944 roku z powiadomieniem o możliwości przysyłania dla nich paczek na inne nazwiska. Jest to przykład wzajemnej pomocy w ciężkich chwilach.

Fotokopia grypsu ze zbiorów Romana Konarzewskiego.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.43.

JEDEN DZIEŃ OBOZOWEGO ŻYCIA

Jako siedemnastoletni chłopiec poprzez więzienie na Montelupich w Krakowie trafiłem do Gross-Rosen, gdzie otrzymałem numer obozowy 1419. Początkowo pracowałem w kamieniołomach. Była to bardzo ciężka i wyczerpująca praca.

Jesienią 1944 roku zostałem wyznaczony na transport do podobozu w Dyhernfurth I. Jechałem tam z kilkudziesięcioma więźniami. Pamiętam jechał tam w tym transporcie kol. Andrzej Waksmundzki - stary więzień obozu oraz grupa więźniów, których przywieziono po powstaniu warszawskim.

Nie mogę nie wspomnieć o pobycie w Dyhernfurth I kolegi Marka Wawrzyniaka, który był sanitariuszem w prowizorycznym revierze. Jemu to zawdzięczam życie. To on widząc mnie bardzo chorego i prawie oślepnętego od gazu "Tabun" przyjął mnie na izbę revierową i ratował z całym poświęceniem w miarę swoich sił i skromnych możliwości. Gdyby nie on, nie przeżyłbym obozu.

Kolega Andrzej Waksmundzki był również człowiekiem wielkiego serca i dobroci, który nas wszystkich podtrzymywał na duchu w ciężkich chwilach /obecnie jest profesorem/.

Również z wielką sympatią wspominam kol.kol. Srokę i Niedzielę, którzy choć byli Niemcami, bardzo często pomagali współwięźniom i nikt z Polaków nie miał do nich żadnych zastrzeżeń.

Wspomnieć muszę trzech braci Konarzewskich. Byli wówczas młodzi i prezentowali bardzo wysoką kulturę, zawsze koleżeńscy i pełni optymizmu.

Natomiast z pogardą wspominam naszego Lagerältestera Mikołajczaka - Niemca, człowieka okrutnego, zbira i sadystę, nienawidzącego Polaków.

Mimo śmierci czyhającej nas na każdym kroku, pobyt w Dyhernfurth I w porównaniu z niewolniczą pracą w kamieniołomach w Gross-Rosen był znośniejszy.

Oto wspomnienie z jednego dnia obozowego życia

Było piękne jesienne popołudnie, słońce swoimi ostatnimi promieniami chciało nam przekazać odrobinę radości i rozweselić twarze więźniów, którzy właśnie wracali z niewolniczej pracy w fabryce gazów.

Jak zwykle zgodnie z żelaznym regulaminem, przeliczono liczbę wracających więźniów do obozu. Na placu ustawiliśmy się jak zwykle blokami do wieczornego apelu, po którym, komendant polecił pozostać wszystkim na miejscu.

Coś musiało się stać? Wkrótce sprawa zaczęła się wyjaśniać. Na plac przyniesiono ławę do bicia. Ktoś będzie dzisiaj ofiarą egzekucji. Po przygotowaniu "areny" do tego okropnego widowiska, wyczytano numer więźnia. Więzień czekał już w asyście wszechwładnych kapów. Po chwili został odczytany wyrok, na mocy którego więzień został skazany na 25 batów.

A cóż przewinił ów więzień? Dokonał sabotażu przynosząc na blok kilka odpadów drewna. W obecności wszystkich więźniów rozpoczęła się egzekucja.

Dwaj oprawcy rozciągnęli ofiarę na wspomnianą ławę, przywiązano mu ręce, nogi. Przy skazanym stało dwóch kapów z pałkami w ręku.

Siedzenie skazańca musiało być wypięte, aby ofiara tym boleśniej odczuwała razy zadawane bykowcem. Z boku stanął lagrowy Mikołajczak, trzymając w ręku potężny bykowiec. Na jego twarzy widać było okrucieństwo, sadizm i nienawiść. Następnie z wielką siłą uderzył ofiarę. Bił z wściekłości bez wytchnienia, a więzień musiał liczyć razy ein... zwei..., drei... aż do końca.

Po tej okrutnej egzekucji rozwiązana ofiara zsunęła się bezwładnie z ławy. Nie wydawał z siebie żadnego jęku.

Padła komenda "rozejść się". Współwięźniowie, zmuszeni do przysłądania się temu ponuremu widowisku, odnieśli kolegę na blok, gdzie próbowali ulżyć jego cierpieniom, przykładając mu zimne kompresy. Mimo cierpień więzień musiał się stawić w dniu następnym do pracy.

Było to widowisko, które po tylu latach pamiętam i do dziś widzę wykrzywioną bólem twarz więźnia.

Nie wiem, czy ten kolega jeszcze żyje, ale zapamiętałem jego nazwisko. Nazywał się Franciszek Zych, pochodził z Zagłębia. Jemu to poświęcam to swoje wspomnienie, bowiem wykazał wtedy wielki hart ducha i bohaterstwo.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.3.9.



Dwa olrzymie głazy upamiętniają w Brzegu Dolnym męczeństwo więźniów Dyhernfurth I i Dyhernfurth II. Odsłonięcia dokonał w 20 rocznicę Zywcięstwa w 1965 roku ówczesny Minister Finansów Jerzy Albrecht - więzień Gross-Rosen i wielu innych obozów. Wieńce i kwiaty od załogi Zakładów "Rokita", od społeczeństwa, od młodzieży szkolnej i od więźniów Gross-Rosen przybyłych z nawet z odległych miast.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.2.4.

WARUNKI PANUJĄCE W OBOZACH KONCENTRACYJNYCH GROSS-ROSEN
I FILII TEGO OBOZU DYHERNFURTH I, MAUTHAUSEN
ORAZ JEGO FILII W AMSTETTEN

Warunki bytowania w wymienionych wyżej obozach koncentracyjnych były tak zaprogramowane, by w możliwie najkrótszym czasie doprowadzić do eksterminacji więźniów. Bardzo skuteczne dla osiągnięcia tego celu były różne formy terroru stosowane w obozach. Poddawani ciągłej presji i prześladowaniom więźniowie załamywali się psychicznie. Miary dopełniały ludobójcze warunki egzystencji i nieludzka eksploatacja ich pracy niewolniczej. Wobec więźniów stosowano metody niezgodne najbardziej prymitywnych barbarzyńców. Wynikało to z cynicznego założenia o mniejszej wartości tych wszystkich, którzy nie byli Niemcami.

Obozy Gross-Rosen i Mauthausen to pełna okrucieństw historia dręczenia przez hitlerowskich oprawców milionów więźniów w wyniszczającej pracy o głodzie i w poniżeniu; to historia bicia, katowania i uśmiercania niewinnych ludzi. Terror rozpoczynał się w momencie przywiezienia więźnia do obozu, by jak najszybciej załamać jego odporność psychiczną, by uczynić z niego istotę bezwzględnie posłuszną i niezdolną do jakiegokolwiek oporu.

Z Krakowa /z więzienia Gestapo przy ul. Montelupich/ na dworzec kolejowy Gross-Rosen transportowano więźniów przekładowanym krytym wagonem-więźniarką, pilrowanym przez uzbrojonych SS-manów. Po przybyciu na miejsce wypędzono nas z wagonu, uformowano w czwórki czy piątki, a potem jak było pogoniono pieszo drogą do obozu położonego w odległości około 6 km od dworca. Przy bramie obozu grupę odpowiednio "przywitani" nowi SS-mani oraz funkcyjni obozu. Od tej chwili zaczęło się tak zwane "przyjęcie zugangu" /nowo przybyłych więźniów/ połączone bez przerwy z biciem i kopaniem. Po zabraniu nam odzieży i przedmiotów osobistych - wszystkich ostrzyżono i ogolono na całym ciele: tępe brzytwy i brutalność fryzjerów były wyjątkowo przykre. Następnie otrzymaliśmy drewniane trepy i ubrania obozowe /pasiaki/, bardzo zniszczone, zaopatrzone w blaszki z wybitymi numerami. Z łazni przeszliśmy do bloku nr 8, gdzie rozpoczęło się "pouczenie" nowo przybyłych o regulaminie obozowym. Polegało ono na wykonywaniu przez dłuższy czas z niewielkimi przerwami tzw. "sportu", przy czym ówczesny sztabowy Staszek /z pochodzenia Ukraińiec/, trzymany w ręku kijem wymierzał celne razy bardziej zmęczonym i słabym więźniom. Takie było nasze pierwsze doświadczenie obozowe.

Jednym z najbardziej skutecznych środków terroru były szykany. Służyły one do pozbawiania więźniów nawet tych nielicznych uprawnień, a dotyczących najbardziej podstawowych potrzeb, jak: odpoczynek nocny, ubranie i wyżywienie. Wielu SS-manów było specjalnie wyrafinowanych w stosowaniu tej metody. Szykany i znęcanie się nad więźniami stosowane były także przez funkcyjnych więźniów blokowych i sztabowych, dobieranych z kryminalistów. Więźniów politycznych umieszczano bowiem w blokach razem z notorycznymi przestępcami, przeważnie niemieckiego pochodzenia, którzy chcąc zasłużyć się SS-manom stawali się nie tylko narzędziem w ich ręku, także sami dość często przejawiali inicjatywę w zadręczaniu więźniów, poniża-

niu ich godności. Ale trafiali się funkcyjni tego pokroju także spośród innych więźniów.

W regulaminie istniał zakaz bicia więźniów, w praktyce zaś "cały tryb życia w obozie był nastawiony metodycznie na znęcanie się i złamanie więźnia fizycznie i psychicznie". Do czerwca 1944 roku władze obozowe wynagradzały bicie i zabijanie więźniów dodatkowymi porcjami żywności. Kapo prowadzący grupę więźniów z robót starał się zgłosić na apelu wszystkich więźniów, także tych zakatowanych, by zwolnione w ten sposób porcje żywnościowe przypadły kapom i blokowym.

Pretekstów do bicia było wiele, wystarczało nierówne ułożenie koca na sienniku /równe ułożenie utrudniała, zbita miejscami, nie zmieniana od lat słoma/, posiadanie wszy /które w obozie były plagą/, zbyt wolne spożywanie posiłku /wskutek braku łyżek i misek szybsze jedzenie było niemożliwe/. Do kąpieli pędzono więźniów nago, dopiero w drugiej połowie 1944 roku pozwalano okrywać się odzieżą. Uderzano w najczulsze miejsca: żołądek, nerki i twarz.

Ciągłe poniżanie więźnia prowadzące do załamania się osiągnęto także poprzez stwarzanie nieludzkich warunków pracy: stosowanie terroru w czasie wykonywania pracy, dowolne przedłużanie jej czasu, zwiększanie tempa pracy itp. Wypadki śmierci przy pracy wskutek znęcania się nadzorców, głodu i wycieńczenia były zjawiskiem powszechnym.

Praca, do której był każdy więzień zmuszany, była ponad siły. Wykonywana była wewnątrz obozu bądź w bezpośredniej jego bliskości lub też w miejscach oddalonych nieraz bardzo znacznie od macierzystego obozu. Była to praca przeważnie w kamieniołomach, przy budowie obozu, koszar dla SS, także dźwiganie pocisków artyleryjskich, 50 i 100 kilogramowych bomb lotniczych ładowanych gazami bojowymi /m.in. tabunem/. Niedożywiony, często chory więzień, przez 13-14 godzin, pod nadzorem kapów i SS-manów uzbrojonych w pałki i kije, musiał pracować bez chwili odpoczynku, bez względu na warunki atmosferyczne. Nie wolno mu było ani na moment wyprostować się, zaprzestać pracy, jak również usiąść. Kapo lub jego pomocnik bili wtedy niemilosierdzie, często aż do utraty przytomności, a nawet życia. Codziennie w południe i wieczorem kolumny robocze ściągające po pracy do obozu niosły na noszach lub wprost wlokły, każda po kilku a czasem kilkunastu nieprzytomnych lub zakatowanych na śmierć kolegów.

Tak wyglądała wojna z bezbronną ludnością. Hitlerowcy wybierali do obozów najlepszych ludzi, wspaniałych patriotów, którzy nie godzili się z narzuconą im niewolą. Wyciągali ich z domów, z biur, ze szkół, z warsztatów pracy, rolników z pól, zapelniając nimi więzienia, obozy koncentracyjne. Potem, wedle swej woli, katowali, łamali im ręce, wieszali ich, rozstrzeliwali, uśmiercali głodząc, często poddawali ich zbrodnictwom pseudomedycznym. Na samo wspomnienie tych czasów każdemu z nas, którzy przeszliśmy przez hitlerowskie piekło, krew ścina się w żyłach.

Że to wszystko przetrzymałem, że żyję, że powróciłem do mojej kochanej rodziny i Polski, że mogłem pracować nad jej odbudową, zawdzięczam przede wszystkim mojej wierze w Boga. Miałem wyraźne odczucie, że siła wyższa ma mnie w swojej opiece.

Dziękuję mojej rodzinie, że się modliła o mój powrót. Dziękuję księdzu kanonikowi Franciszkowi Twardzickiemu, który także bardzo gorąco prosił Matkę Boską Częstochowską o wstawiennictwo za mną, dziękując mi tym samym za ostrzeżenie go przed aresztowaniem. Dziękuję za Mszę św. Gregoriańską, którą w mojej intencji odprawiono. Serdeczne podziękowania składam również moim drogim kolegom współ-

więźniom: mgr Tadeuszowi Koralowi z Warszawy i inż. Rudolfowi Staremu z Krakowa za wspaniały, prawdziwy i ludzki stosunek do mnie.

Stale rozmyślam nad tym co zrobiłem z moim życiem i co zrobię w przyszłości. Uważam, że zrobiłem wszystko, co mogłem zrobić i tak jak chciałem, i nikt mi nic nie jest winien. Ale teraz zacząłem się zastanawiać, czy zrobiłem pewne rzeczy dlatego, że były dobre, czy dlatego, że były dobre dla mnie. Przedtem działałem pod wpływem patriotycznego impulsu, a teraz nim coś postanowię, najpierw muszę powoli i dokładnie rzecz całą przemyśleć, przetrawić. Staram się robić rzeczy ważne, które wzbogacają umysł i duszę i służą innym. Nie chcę być ani przez nikogo inspirowany, ani też sądzić innych. Chcę robić wiele dobrego, lecz nie tylko to, co jest dobre dla mnie. I wydaje mi się, że teraz - dzięki temu co przeżyłem - wszystko znacznie lepiej rozumiem.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.5.3.17.



Leon Suchiński pisał list z obozu do Krystyny Konarzewskiej przekazując jej wiadomość o jej bracie Romanie Konarzewskim, który nie miał prawa pisania korespondencji.

Nr archiwum Gross-Rosen 1.5.3.41.